

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

KOBIETY
REWOLUCYI
FRANCUŹKIEJ



WARSZAWA

Nakł. i druk Akc. Tow. S. Orgelbranda S-ów
Skład główny w księgarni E. WENDE i S-ka.
1906.

©
Wawrzyn

K-22/74



41227

I.

Znaczenie kobiety francuzkiej w XVIII stuleciu.

Padła stara Francya...

Idealy, wierzenia, pojęcia, tradycye, które przyświecały „najstarszej córce Kościoła” przez lat tysiąc, bladły, gasły. Przewodnicy, którzy ją prowadzili poprzez mroki średniowiecza i pierwsze wieki nowych czasów, (szlachta i duchowieństwo), znażyli się, wyczerpali. Nadeszła likwidacya całej przeszłości, zakończona zdruzgotaniem istniejącego porządku (rewolucya).

Tysiąc lat był ksiądz katolicki nietylko duszpasterzem, ale także pierwszym cywilizatorem barbarzyńskiego Franka. Z ewangelią w rękę, uzbrojony w nakazy miłosierdzia, litości, pobłażliwości i dobroci, trzymał na obroży gwałtowną duszę nie-

sfornego rycerza, polerował ją, wyszlachetniał, tłumił jej samowolę, grożąc zachwałemu karą nieba; budował kościoły, zakładał klasztory, pisał księgi, uprawiał rolę, zasłaniał potężną ręką słabego przeciw pysze mocnego. Kto stanął na jego ziemi, zdołał się schronić za fartą klasztorów, za bramą kościołów, banita czy skazaniec, ścigany albo prześladowany, był bezpieczny. Najmożliwszy pan nie śmiał naruszyć przywilejów „azyłu.“

Teraz, w stuleciu ośmnastym, stracił ksiądz swoje dawne znaczenie. Podkopał je krytycyzm wiedzy, która przeszła z rąk duchownych w ręce świeckie. Rewolucja ta zaczęła się już z chwilą Odrodzenia. Odzywała się zrazu ostrożnie, atakując tylko powagę Kościoła, rosnąc jednak z każdym pokoleniem, wybuchła ostatecznie jawnym buntem przeciw wierze, przeciw religii wogóle.

Niezwykły we Francji XVIII stulecia rozkwit nauk ścisłych (matematyki, astronomii, fizyki, chemii, zoologii i t. d.) dokonał dzieła rozpoczętego przez Odrodzenie i Reformację. Krytycyzm burzył teraz szybko podwaliny wiary. Zaczawszy od druzgotania powagi Kościoła (Voltaire), skończył na materyalizmie, na samowładztwie rozumu (La Mettrie, d'Holbach, encyklopedyści). Kult Rozumu rewolucji fran-

cuzkiej był ostatniem słowem, koroną tego zamachu na wiarę.

Indyferentyzm religijny i ateizm, wyszedłszy z gabinetów i laboratoryów wiedzy, ogarnęły szerokie koła inteligencji francuzkiej XVIII stulecia, nie wyłączając światlejszego duchowieństwa. Wytwornipracownicy i światowi abbé'owie paryżcy lekceważyli tak samo uczucia religijne, jak świeccy krytycy. Dawniejsza cześć dla kleru zmieniła się w pogardę, w końcu (podczas rewolucyi) w nienawiść.

Tysiąc lat był szlachcic francuzki puklerzem i mieczem ziemi francuzkiej. Z wieży swojego zamku czuwał dzień i noc nad bezpieczeństwem okolicy, powierzonej jego opiece; gdy nieprzyjaciół zagrażał granicom państwa, siadał na konia i szedł za panem lennym, za księciem lub królem, na pola krwawe, znosił bez skargi trud i ból wojny, oddawał życie. Klócił się, bił z sąsiadem, buntował się od czasu do czasu przeciw królowi, ale ziemi francuzkiej bronił zawsze, odważny, waleczny.

Z chwilą jednak, gdy król wziął na siebie całą troskę o bezpieczeństwo zjednoczonego państwa (*l'état c'est moi*) gdy Ludwik XIV, zamykając dzieło swoich przodków, złamał ostatecznie niezależność indywidualną szlachcica, rzuciwszy go pod stopnie absolutnego, samowładczego tronu, skoń-

czyło się posłannictwo rycerza. Jego miecz, zastąpiony przez karabin werbowanego ze-
wszad żołnierza, stał się niepotrzebny. .

Strącony przez koronę ze swojego posterunku szlachcie, przebrał się w miękkie, jedwabne suknie, zgnaśniał, stał się wykwintnisiem, salonowcem, bawidamkiem. W wielkich miastach filozofował razem z filozofami, drwił z religii z *a b b é' a m i*—na wsi pleśniał, rdzewiał.

Od samego początku XVIII stulecia rozkłada się, sypie w gazy dawna Francja *ancien régime*. Idee, pojęcia, wierzenia, cele, które zapalały przez lat tysiąc wyobraźnię i serca klas przodujących, pobudzając je do czynu, do energii, stają się próchnem, wędną, marszeją, gasną; razem z niemi marszeją przedstawiciele starej kultury (szlachta i duchowieństwo), spychane przez żywioły nowe, świeższe, jeszcze niezaużyte, z mostku kapitańskiego nawy państwowej. Inne ideały potrzebują innych ludzi, innych wykonawców.

Kiedy męzka połowa klas przodujących słabnie, gnaśnieje, traci energię, przestaje rozumieć głos ducha czasu, występuje kobieta na sam przód historii.

Od samego początku XVIII stulecia wysawa się kobieta na pierwszy plan. Widać ją wszędzie, na dworze królów i w gabinetach ministrów, gromadzi ona dokoła

siebie w salonach kwiat arystokracji rodowej, duchowieństwa i inteligencji — rządzi, miesza się do polityki, nauki i literatury. Historyk Francji XVIII stulecia widzi jej drobną rękę we wszystkich ważnych wypadkach tej twórczej epoki. Nie królowie i ministrowie rządzą, lecz właściwie panie: de Prie, de Mailly, de Châteaurox, de Pompadour, du Barry, de Polignac, de Staël, Roland i inne. Metresy królów, żony i krewne ministrów, w końcu awantur-nice buduarowe wpływają stanowczo na przebieg wypadków historycznych, wtrącają się nawet do planów bitew, do wojny.

Literatura, nauka i sztuka francuska XVIII stulecia stoją pod szczególną opieką kobiety. W salonach jej gromadzą się wszyscy znakomici pisarze i artyści epoki. Ona popiera młode talenty, wyrównywa już uznanym drogę do Akademii, wyjednywa dla nich pensje króla, zaszczyty, godności. Kogo ona poprze, ten staje się sławnym w przeciągu krótkiego czasu (Marmontel, Laharpe), kto nie umie sobie zaskarbić jej względów, ten musi czekać długo na sławę, choćby był nawet takim lwem, jak Diderot. Każdy autor lub artysta czepia się spódnicy jakiejś powszechnie znanej protektorki. Voltaire'a wprowadza w świat i zasłania go przed gniewem dworu księżna de Richelieu; Rousseau'em zajmując się gorliwie marszał-

kowa de Luxemburg; księdza Barthélemy'ema robi sławę książka Choiseul. Robé i Roucher, Colardeau, d'Arnaud i de Gai-cert, Dorat i Florian, Watteau i Greuze — wszyscy, wielcy i mali, genialni i średnio-uzdolnieni znajdują w łasce kobiety źródło sławy, stanowiska towarzyskiego, pieniędzy.

„Kobieta francuzka XVIII stulecia — mówią bracia de Goucourt w swoim sta-dyum p. t. „La femme de dix huitième siècle“ — jest pierwiastkiem, który rządzi, rozumem, który prowadzi, głosem, który rozkazuje. Ona jest przyczyną powszech-ną i fatalną, źródłem wypadków; ona prze-wodniczy epocę. Nie nie wymyka się z pod jej władzy. Ona trzyma w swem ręku kró-la i Francję, wołę monarchy i opinii pu-blicznej. Rozkazuje na dworze i jest pa-nią swojego ogniska domowego. Rewolu-cye aliansów i systemów, pokój i wojnę, literaturę, sztukę i mody — wszystko niesie w fałdach swojej spódnicy, nagina do swo-ich kaprysów i namiętności. Niema ani jed-nego skandalu, ani jednej katastrofy, ani jednego wielkiego wypadku w stuleciu XVIII, w którymby nie brała udziału, wnosząc do nich niespodzianki romansu. Wyobraźnia jej siedzi przy stole doradców korony. Ona dyktuje, stosownie do swoich upodobań, sympatyj i antypatyj politykę wewnętrzną i zewnętrzną, daje instrukcje ministrom

i ambasadorom. Ona narzuca swoje idee, pragnienia, styl nawet, język swój, dyploma-cy... Kobieta dotyka się wszystkiego, jest wszędzie. Jest światłem, ale także cie-niem tej epoki, w której wielkich tajemni-cach historycznych ukrywają się zawsze na ich dnie namiętności niewieście — jakaś mi-łość, jakaś nienawiść, jakaś zazdrość... Ko-bieta oplata tysiącami swoich wpływów ca-łą administracyę królestwa. Usilnością swo-ich zachodów, rozległością swoich stosun-ków, zręcznością, namiętnością, uporeczy-wością starań obsadza swojemi kreaturami wszystkie urzędy państwa.“ *)

Zręczność kobiety francuzkiej XVIII w. w protegowaniu swoich wybrańców, ma-luje doskonale Marmontel (Mémoires), któ-ry zawdzięczał tej zręczności rychłą sławę i niezależność materyalną.

Mówi Montesquieu w swoich „Listach Perskich:“ Niema nikogo na urzędach dwor-skich w Paryżu i w kraju, za kimby nie stała jedna z kobiet, przez których ręce przechodzą wszystkie łaski i niekiedy nie-sprawiedliwości. Te kobiety pozostają z so-bą w ciągłych stosunkach i tworzą rodzaj rzeczypospolitej, której zawsze czynni człon-

*) Edmond et Jules de Goncourt. „La fem-me du dix-huitième siècle“ wyd. z roku 1903, str. 371—374.

kowie pomagają, służą sobie nawzajem. Ta rzeczpospolita jest jakby państwem w państwie. Kto znajduje się na dworze, w Paryżu, albo na prowincyi i patrzy na działalność ministrów, urzędników i prałatów, a nie zna kobiet, które nimi kierają, ten widzi wprawdzie pracującą maszynę, ale nie dostrzega jej sprężyn *).

Królestwo kobiety francuzkiej w epoce przedrewolucyjnej było naturalnym wytworem chwili przejściowej.

Stara kultura—kultura królów, szlachty i duchowieństwa rozsypywała się w grzy. Król, spełniwszy, co miał do spełnienia, zgnuśniał; szlachcie, pozbawiony przez króla znaczenia politycznego, przestał być rycerzem, a stał się światowcem; prałat, owiany krytycyzmem czasu, zaczął się wstydzć żarliwości religijnej.

Mężczyzna stanów uprzywilejowanych, wyczerpany tradem umysłowym i fizycznym wielu pokoleń, stracił dawniejszą energię, rzutkość—słabł, słabość zaś mężczyzny jest zawsze siłą kobiety. Czynne życie w radzie i boju gasnących władców ustąpiło miejsca pracowitemu próżniactwu życia towarzyskiego, salonowi, w salonie zaś krótuje zawsze kobieta.

We wszystkich chwilach przejściowych,

*) Montesquieu: „Lettres persanes.“

na przełomie dwóch epok, podnosi się płeć słaba z zależności, w jaką ją zdrowa, silna płeć mocna wtrąca, o władzę swoją, o prymat zazdrosna. Pomagają jej, oprócz rozkładu tradycyi historycznych i omdlenia energii kasty rządzącej indyferentyzm i libertynizm religijny i etyczny, zamykające zwykle jakąś zwiędłą kulturę. Za indyferentyzmem i libertynizmem etycznym idzie rozwiązłość obyczajów, głód rozkoszy zmysłowych, najhojniejszym zaś szafarzem słodyczy tej ziemi jest kobieta.

Oto dlaczego zgnuśniały mężczyzna-sybaryta kładzie się do jej stóp, spełniając za rozkosz życia posłusznie jej rozkazy i kaprysy. A ona, silniejsza od niego, bo zależna, bierna, nie dopuszczona do roboty dziejowej przez szereg wieków, nie zużyła tyle energii dziejowej, ile on, chwyta śmiałą ręką berło i rządzi dopóty, dopóki nowa, świeża rasa męzka nie zajmie postęranków, opuszczonych przez niedobitków skończonej kultury.

Tak było w Grecyi sofistów, w Rzymie późniejszych imperatorów — tak było we Francyi ostatnich Ludwików.

Odcytując pamiętniki francuzkie z epoki przedrewolucyjnej, doznaje się wrażenia, jak gdyby mężczyzna był tylko narzędziem sprzętem kobiety. Nawet żargon światowy kładzie się do jej stóp. Nie mó-

wi się: idziemy z wizytą do państwa X., złożyć uznanie państwu Y., lecz zawsze tylko: *on va voir, Madame, faire la Partie de Madame, diner avec Madame*. Pani przyjmuje, ugaszcza, bawi gości, reprezentuje, pan zaś, mąż, stoi na uboczu, w cieniu, nadzi się zwykłe u siebie, czekając niecierpliwie na jakiś pretekst, któryby mu pozwolił wymknąć się niepostrzeżenie z domu, czego mu zresztą nikt z gości nie bierze za złe, nie do niego bowiem przyszli, nie jego towarzystwa pożądata. W słynnym salonie pani Geoffrin, w którym bawiły się, dysputowały wszystkie znakomitości francuskie i zagraniczne XVIII stulecia, nie słyszy się nigdy o panu Geoffrin, chociaż ten pan Geoffrin istniał, bywał nawet dość często obecnym na przyjęciach pani.

pensjonacie damskim, a sióstr de Sainte Marie, chowały się córki wysokiej biurokracji i finansów.

Bogatsze klasztory francuskie XVIII stulecia uległy wpływowi czasu, który stał się pobłażliwym dla słabości ludzkich. Wprawdzie obserwowały zakonnice swoją regułę, ale nie one tylko mieszkaly w murach klasztornych. Poza kratami klauzury roily się domy i domki, należące do Zgromadzenia, gośćmi świeckimi.

Bogatsze klasztory francuskie XVIII stulecia były rodzajem schroniska dla wszystkich kobiet wykolejonych, nieszczęśliwych, rozczarowanych do życia. Aristokratka, zdradzana przez męża, lub zdradzająca go sama, zubożała marnotrawstwem własnem albo swojej rodziny, kochająca nieszczęśliwie, dotknięta głęboko śmiercią kogoś bliskiego, spragniona wogóle z jakiegokolwiek powodu ciszy, zapomnienia, wycofywała się na pewien czas z wiru światowego. Za niewielkie pieniądze otrzymywała w klasztorze mieszkanie, utrzymanie, służbę i spokój, którego jej serce potrzebowało.

Te dobrowolne pensyonarki klasztorów żeńskich nie składały oczywiście żadnych ślubów. Żyły one „na dewocyi,” nieskrępowane obowiązkami reguły, rozporządzając swoim czasem według własnej woli: wychodziły między ludzi, kiedy im się po-



dobą, przyjmowały gości, zabawiały się muzyką, lekturą, czasami nawet teatrem amatorskim. Z niemi weszło do klasztoru technienie nowych czasów, niemające nic wspólnego z sarrowością ascetyzmu.

W otoczeniu wypoczywających po rozczarowaniach życia dam światowych rozwijała się, dojrzewała córka szlachecka. I jej bezpośrednie mistrzynie, zakonnice, należały do sfer, z jakich ona pochodziła.

Wiehrząca w stuleciu ośmnastem we Francji ospa zaludniła klasztory szlachećkami. Bo w epoce rozpasanych zmysłów, galanterii, rozpasty, nie było w świecie miejsca dla kobiety, zeszpeconej śladami ospy. Z całym egoizmem i okracieństwem zmysłów, łaknących rozkoszy, mówiono: „Kobieta brzydka jest istotą, która nie posiada żadnego stopnia w naturze i żadnego miejsca w świecie.“

Pozbawiona przez ospę „stopnia w naturze i miejsca w świecie“ panienka, skazana na samotne życie bez miłości, bez męża i własnego dziecka, szła do klasztoru, gdzie nie trzeba było zdawać egzaminu z urody, gdzie ją przytulano bez wstrętu do twarzy podziobanej. Klasztor dawał jej „stopień“, jakiego jej świat odmawiał, wynosił ją z czasem, z latami do godności przeoryszy lub ksieni, albo przyozdabiał ją gronostajem i krzyżem kanoniczki.

W swoim otoczeniu, wśród kobiet, należących do jej świata, dorastała córka szlachecka. Uczyła się niewiele, głównie przedmiotów, potrzebnych przyszłej pani domu i damie salonowej: religii, historii, literatury francuskiej, gospodarstwa, szycia, haftu, muzyki, śpiewu, tańca.

Właściwa jej nauka zaczęła się dopiero z chwilą opuszczenia klasztoru, z chwilą zamążpójścia.

Uczyło ją nasamprzód życie, a uczyło ją zatrutej mądrości rozwiązłej epoki.

Po słodyczach i zachwytach miesięcy miodowych dowiedziała się młoda męczatka, że wszystko, co marzyła o miłości w małżeństwie było złudzeniem. Wyłumaczył jej to zwykle sam mąż, zawsze bardzo uprzejmy, doskonale wychowany. „Nie na to pobraliśmy się, by się zabawiać w sielankę miłości, lecz na to, by owoc naszego związku—dziecko, podtrzymało nazwisko domu i odziedziczyło jego majątek, jego splendory. Małżeństwo swoją drogą, a miłość swoją. Największą rozkoszą życia jest ciągła zmiana; jednostajność nudzi, brzydnie.“

Ostudziwszy w ten sposób niepożądane, niewygodne, swobodę krępujące afekty żony, odchodził mąż w „swoją stronę“, do metres, do t. zw. przyjaciółek. Jestto jeden z głównych powodów, dla czego pana widać tak rzadko w salonie pani.

A ona, młoda żona?

Ona płakała prawdopodobnie z początku, następnie jednak, pouczona przez jakąś starszą przyjaciółkę, rzucała się z całym temperamentem młodości z całym głodem młodego życia w wir światowy, w wir zabaw, wizyt, teatru, proszonych obiadów, kolacyi, przeciągających się do rana, skandalów i skandalików, zwłaszcza, iż „pan jej i władca“ nie uważał za potrzebne być czujnym kontrolerem i surowym sędzią jej postępów. Był zanadto „dobrze wychowanym“, by odgrywać rolę zazdrosnego męża. „Dobre to dla mieszczuchów.“

Rozumie się, że i wyższe warstwy społeczne XVIII stulecia mogły się pochwalić dobru, kochającemi się stadłami. Pamiętniki owego czasu wymieniają cały szereg małżeństw wzorowych (państwo de Choiseul, de Richelieu, de Maurepas, de Croissy, de Beauvau i in.), typem jednak małżeństw arystokratycznych był związek konwencyonalny, który zostawiał, mimo bardzo surowego pod tym względem prawa, kobietom lekkomyślnym i zmysłowym pełną swobodę.

Co rozpoczął libertynizm obyczajowy XVIII wieku, to wykończyła, uświęciła wiedza i literatura.

W salonach wielkich dam, na proszonych obiadach i kolacjach spotykała młoda

mężatka, zaniedbywana przez męża, słynnych uczonych, filozofów i literatów. Od nich, od apostołów czystego rozumu, od oświeconych, dowiadywała się, że katechizm, którego uczyły ją w domu bony, w klasztorze zakonnice, jest „przeżytkiem“, że religia, stworzona dla dzieci, dla naiwnych wieków średnich, ustąpiła miejsca rozumowi, że człowiek jest maszyną, „kreaturą rezonującą i pożadającą rozkoszy, że małżeństwo krępuje miłość“ (Diderot).

Słyszac ciągle dokoła siebie dysputy naukowe, literackie, artystyczne, które były główną treścią rozmów salonów paryskich XVIII stulecia, ocierając się ciągle o koryfeuszów wiedzy i literatury, dama światowa, by nie uchodzić za ignorantkę, rzuciła się chciwie do książki. Czytała nasamprzód z apodobaniem Voltaire'a, Diderota, potem zabrała się do poważnej nauki ścisłej.

Opowiada pani de Genlis w swoich pamiętnikach (*Mémoires*, tom II), że panie z najwyższego towarzystwa łączyły się w kółka po kilkanaście osób i słuchały w salonach wykładów chemii, fizyki, historii naturalnej. Margrabina de Nesle, hrabina de Brancard, hrabina de Polignac, niezadowolone wykładami salonowymi, uczęszczały do laboratoryów, gdzie śledziły z wiel-

ką uwagą i pilnością doświadczenia eksperymentujących uczonych.

Głównie medycyna podniecała ciekawość eleganckich Paryżanek z towarzystwa. Wszystkie wybitniejsze damy francuskie z epoki przedrewolucyjnej uczyły się medycyny, chirurgii, anatomii. Były między niemi bardzo zdolne lekarki, jak hrabina de Voisenon i margrabina de Voyer i bardzo żarliwe chirurgiżki, jak hrabina de Coigny.

Duch czasu, który, uzbroiwszy się w ostry skalpel krytycyzmu, barzył powagę religii, Kościoła i tradycyi historycznej, porwał i kobietę w swoje wiry zawrotne, odrywając ją od naturalnych obowiązków żony i matki. Małżeństwo nauczyło damę francuską libertynizmu obyczajowego, filozofia zaś i wiedza, oparte tylko na rozumie—libertynizmu umysłowego. Wszystko: konwencyjonalne małżeństwo, czechość salonu, pogoń za rozkoszą, literatura, dyletantyzm naukowy, cheiwość zmieniających się ciągle wrażeń i wzruszeń—składało się na wytworzenie typu kobiety eleganckiej, wytwornej, bardzo inteligentnej, uświadomionej, ale oschłej i wyczerpanej, znadzonej ostatecznie tym całym nerwowym rejwach błyskotliwego życia towarzyskiego i rezonowania rozumowego, które nie mogło zadowolnić i wypełnić serca niewieściego.

Wiek XVII rozwijał rozum, podniecał zmysły kobiety starej kultury, zapomniawszy całkiem o jej sercu.

Wszystkie te rezonerki, inteligentne, salonowe, te *débâcheées d'esprit*, jak je nazywano, nudziły się w latach dojrzałych śmiertelnie. „Nudzą mnie wszyscy ludzie, nudzi mnie życie,” skarżą się one w swoich pamiętnikach i listach. Margrabina du Deffand zazdrości drzewom, „albowiem nie cierpią na chorobę nadów.”

W warunkach korzystniejszych od szlachecianek chowała się i dojrzewała mieszcza francuska XVIII stulecia. Przedewszystkiem była jej matka matką rzeczywistą. Sama ją karmiła i czuwała nad jej latami dziecięcemi, sama składała jej rączkę do pacierza i uczyła ją katechizmu.

Córka mieszczańska wносиła do małżeństwa pamięć ciepłego, serdecznego ogniska domowego, czego dziecku szlacheckiemu obyczaj wieku odmówił.

Wychowanie córki domu mieszczańskiego było w miniaturze podobne do edukacyi szlacheckiej. Tak samo, jak księżniczka, hrabianka i margrabianka, pobierała i mieszcza pierwszą naukę w domu, a dalszą w klasztorze, z tą tylko różnicą, że szlacheckie przebywały pod opieką zakonnic zwykle aż do zamążpójścia, nie-szlacheckie zaś tylko rok, najwyżej dwa.

Tak samo, jak panny „dobrze urodzone“, uczyły się córeczki mieszczań oprócz katechizmu, czytania, pisania, rachunków i robót, także tańca i muzyki, z tą tylko różnicą, że nie miały później w życiu sposobności wypolerować, wydoskonalić tych „talentów towarzyskich“, nie bywały bowiem w wykwintnych salonach.

Nie bywając w „towarzystwie“, w „świecie“, nie zarażały się libertynizmem obyczajowym i umysłowym „towarzystwa“, „świata“, nie nauczyły się lekceważyć zaprzysiężonej wiary małżeńskiej, czci, czyściwości ogniska domowego.

Niższe pod względem towarzyskim i umysłowym od szlachcianek, przewyższały je mieszczańki zdrowiem duchowem, czystością obyczajów. Wychowane skromnie, przywykłe od lat najmłodszych do pracy około domu, do gospodarstwa, kuchni, do robót kobiecych, nie narażone na pokusy i nudy życia próżniaczego, strzeżone przed zamążpójściem przez matki, a po ślubie przez męża, spełniały ucieciwie obowiązki ucieciwej kobiety. Taka np. pani Roland, aczkolwiek bardzo urodziwa i odczuwająca słodycz miłości, zachowała wiarę znacznie od niej starszemu małżonkowi, nie splamiła się lekkomyślnymi romansami.

Skromność zwyczajów i obyczajów odnosi się jednak tylko do mieszczaństwa

abozszego. Bogatsze, zbliżone więcej do sfer przodających majątkiem, ogłada towarzyską i stosunkami osobistymi, zaczęło już około r. 1750 naśladować „świat“, salony. W miarę, jak się szlachta pod wpływem filozofii i literatury demokratyzowała, wyższe mieszczaństwo (finanse, urzędnicy, inteligencja) nabierało upodobań arystokratycznych. Tytuł „pani“ (*Madame* *Mademoiselle*), przysługujący wedle prawa i obyczaju tylko szlachciance, zsuwał się powoli z góry na dół. W drugiej połowie XVIII stulecia były już wszystkie kapełowe paryskie „paniami“. Bogatsze z nich chodziły do kościoła z lokajami, którzy nieśli za niemi książki do nabożeństwa.

Arystokratyzujące się mieszczańki odegrały później w rewolucji bardzo dużą rolę, podniecając ambicje swoich mężów, braci i krewnych. Dość przeczytać pamiętniki pani Roland, typowej przedstawicielki pnącego się w górę, sięgającego po władzę Stana Trzeciego, by zrozumieć, że nie same tylko doktryny polityczne i socjologiczne wpłynęły na przebieg krwawych wypadków. Co stwarza duch czasu, konieczność historyczna, to psują zwykłe ambicje i namiętności ludzkie. Na dnie wielkiej tragedii syczy bardzo często sykiem żmii pospolita zawiść.

Na scenie rewolucji, w pełnem oświe-

tleniu olbrzymiego pożaru widać wprawdzie bardzo mało kobiet, za jej kulisami jednak gra cały legion czynnych, ruchliwych kotnarsek. Wiadomo, że w Zgromadzenia Narodowem i Prawodawczem nie wygłoszono ani jednej wybitniejszej mowy, którejby przedtem nie wysłuchały i nie ocenzuowały nadobne słuchaczki. Każdy list, każde rozporządzenie Rolanda z czasów jego działalności ministeryalnej, czytała, oceniała pani Roland.

Więcej, niż przedstawicielk Stanu Trzeciego porusza się na wielkiej scenie rewolucyi kobiet z ludu miejskiego. Przekupki, t. zw. „damy z hal,” głównie słynne z krzykliwości i grubiaństwa handlarki ryb (*les poissonnieres*), szły śmiało w ogień, brały czynny udział w zaburzeniach ulicznych i w zamachach zbrojnych.

Był to jeszcze materiał całkiem surowy, gruby, nieociesniony ani w domu, ani w szkole.

Wiecznie zapracowana, jak wół na żarzoniu, ciągle w pogoni za chlebem powszednim, nie miała kobieta z ludu czasu i sposobności do pomyślenia o kulturze umysłowej, etycznej i towarzyskiej. Wniosła ona do rewolucyi dzikie instynkty i nieokiełznane nieczem namiętności człowieka-zwierzęcia, podnieconego gorzałką. Pijaństwo było w XVIII stuleciu wśród francuskiego ludu

miejskiego bardzo rozpowszechnione, co poświadcza historycy owego czasu. Kobiety upadłe rekrutowały się głównie z tych warstw wydziedziczonych, któremi się demagogowie rewolucyi posługiwali, jako narzędziem do wcielenia swoich doktryn politycznych i socyologicznych, do zbudowania „idealnego państwa przyszłości.”

III.

Salony Paryżkie.

Wysokie znaczenie inteligentnej kobiety francuskiej XVIII stulecia wypukliło się najwyraźniej w słynnych salonach paryżkich, które były jej dziełem i przyjemnym wypoczynkiem po burzach młodości.

Pierwsze zmarszczki, pierwsze siwe włosy, przypomniały damie światowej, kołyszącej się dotąd z wielką swobodą na spienionej, szumiącej fali rozkoszy zmysłowych, że kobieta w „pewnym wieku“ staje się śmieszną, gdy nie umie, nie chce się zestarzeć. Dawniej szukały wycofane z kursu światowego emerytki pociechy w dewocyi. Ale lwica towarzyska XVIII stulecia była zbyt „oświecona“, zbyt przepojona krytycyzmem swojego czasu, by się chciała przyznać do niemocy rozumu ludzkiego,

i przywykła zanadto do gwaru życia światowego, by się chciała wyrzec jego pracowitego próżniactwa. Mówiła przecież margrabina du Deffand, iż wolałaby towarzystwo pierwszego lepszego zakrystyana, niż wieczór spędzony bez towarzystwa.

Nie chcąc szukać pociechy po zwiędłych kwiatach młodości w dewocyi, lub w spełnianiu obowiązków matki, nie umiając żyć bez gości, otaczała się dama światowa na stare lata gromadką ludzi, którym wystarczała przyjemna pogawędka w salonie, przy obiedzie lub kolacyi. W ten sposób, bawiąc innych, bawiła siebie.

Do stworzenia salonu francuskiego, który stał się wzorem dla zebrań towarzyskich całego świata cywilizowanego, przyczyniły się dużo: wrodzona Francuzowi gościnność, asposobienie towarzyskie, uprzejmość i dar łatwej, błyskotliwej, lekkiej, z przedmiotu na przedmiot zręcznie przeslizgującej się gawędki. Ocieęzały Niemiec, poważny Anglik, zbyt gwałtowny, namiętny Włoch nie są dobrym materiałem na salonowca.

Lekka, porwana konwersacya jest dla Francuza tem, czem lot dla ptaka — mówi Taine*). Zawsze wesoły, dowcipkujący, opo-

*) H. Taine: „Les origines de la France contemporaine.“ Wydanie XXV; tom I, str. 193.

wiadający doskonale, umiejący podać rzecz najdrażliwszą w formie możliwej, jest lekomyślny trochę Gall z urodzenia bardzo miłym towarzyszem.

Z początku były salony paryżkie tylko zwykłemi bawialniami bez poważniejszego podłoża. Zbierano się, by przepędzić czas w przyjemnem towarzystwie, spotkać znajomych, plotkować, zjeść dobry obiad, dobrą kolację, dowiedzieć się nowin dnia, grać w karty. Szlachta francuska, pozbawiona przez koronę znaczenia politycznego, rozpróżniona, zgnaśniona, nie wiedząc, co robić z czasem, którego miała za wiele, szukała chciwie rozrywek, żyła tylko dla nich. Dziwi się baronowa d'Oberkich, temu pracowitemu próżniactwu. „Tu, w Paryżu — skarży się w swoich „Pamiętnikach“ — nie należę do siebie, mam zaledwie czas porozumieć się z mężem i załatwić bieżącą korespondencję. Nie wiem, jak urządzają się kobiety światowe; chyba nie mają rodzin do utrzymania, dzieci do wychowania.“

Ale duch czasu, błyskający już w pierwszej połowie XVIII stulecia błyskawicami nadejść mającej rewolucyi, zmienił wkrótce pospolite bawialnie w rodzaj eleganckich klubów literacko-politycznych. Słynne salony paryżkie nazwano później *bureaux d'esprit*

Bo duch czasu, duch buntu przeciw istnjącemu porządkowi uspokoił krytycznie nie sam tylko Stan Trzeci, jak się powszechnie mniema. I stany uprzywilejowane: szlachta i duchowieństwo, ujarzmione przez koronę, zrywały się przeciw narzucanemu im jarzmu, słuchały z przyjemnością hasła bojowych opozycji. Banalna konwersacja salonowa podniosła się o cały ton, ożywiła się, pogłębiła. Salon stał się ogniskiem opinii publicznej, w którym fermentowały, dojrzewały wszystkie nowe idee, i kuźnią sławy ludzi i dzieł ich.

Nowe idee, które miały pod koniec wieku wzniecić pożar rewolucyi, iskrzyły się, tliły nasamprzód w książkach, zanim rozpląły w klubach politycznych, w sejmie, i zanim wyszły na ulicę.

Epoka przedrewolucyjna we Francyi należała do uczonych i literatów. Oni to, zapłodnieni technieniem ducha czasu, druzgotali słowem żywym i pisanem całą przeszłość, poddawali tradycję historyczną ostrej krytyce. Oni też królowali w salonach paryżkich, byli ich główną dekoracją i atrakcją. Każdy większy salon starał się mieć swoich uczonych i literatów, swoje „gwiazdy domowe.“ Voltaire dowcipkował, burzył powagę Kościoła w salonie pani de Châtetet, Rousseau wygłaszał swoje doktryny socjologiczne a pani d'Epinay i a mar-

szalkowej de Luxemburg, ksiądz Barthélémy olśniewał talentem swoim gości książęcy Dhoiseul, Thomas, Marmontel, Gibbon bywali stale u pani Necker, encyklopedyści przewracali świat do góry nogami w salonach barona d'Holbacha, pani Geoffrin i panny de Lespinasse.

Uczeni i literaci, protegowani, pieszczeni, rozśławiani przez wielkie damy, starali się nagiąć do wytwornych form, uczyli się zwyczajów, obyczajów i języka salonów, przyodziewali się w gładką, błyszczącą skórę światową. Voltaire, syn notaryusza, Diderot, syn nożownika, d'Alembert i Champfort, dzieci bez ojca i matki, pierwszy z nich znaleziony i wychowany przez szklarza, Beaumarchais, syn zegarmistrza, Marmontel, syn wiejskiego krawca, Laharpe, skazany od kotłyski na miłosierdzie dobroczynności—byli wykwinutymi światowcami, bywali w najlepszych towarzystwach, przyjmowani wszędzie z wielką uprzejmością i radością. Jedyne Rousseau, zawsze nieokrzesany dziwak, nie umiał się wypolerować w świecie, przyjąć form dobrego towarzystwa, jakkolwiek mu nie zbywało na sposobności do polityry towarzyskiej.

Już najdawniejszy salon paryzki XVIII stulecia, salon pani de Lambert, zerwał z tradycjami bezmyślnej światowości. U pani de Lambert, której wyróżnianymi gośćmi

byli Fontenelle, ksiądz de Mongaut, Sacy, prezydent Hénault i znakomitsi „nieśmiertelni“ Akademii Francuskiej, nie grano już w wista, w tric-trac, nie plotkowano. Czytano dzieła, przygotowane do druku, oceniano je, omawiano kandydatury przyszłych wyborów do Akademii, robiono przyjacielom sławę. Ze śródowych obiadów pani de Lambert wyszło wiele „nieśmiertelnych“, wykwitło wiele znakomitości chwili, o których potomni zapomnieli.

Salon jednak pani de Lambert nie miał jeszcze szerokiego rozgłosu właściwych *bureaux d'esprit*. Pierwszem takim „biurem inteligencji“, ogniskiem nowych prądów, idei, kazią arcydową znakomitości był salon słynnej pani de Tencin.

Mądrą głową była ta pani de Tencin, tem mądrzejszą iż nie narzucała swojej mądrości nikomu—umiała ją doskonale ukryć.

Opowiada Marmontel (*Mémoires*) że kiedy rozmawiał po raz pierwszy dłużej z panią de Tencin, zrobiła na nim wrażenie tylko dobrej, uprzejmej, dla młodych talentów bardzo życzliwej damy. A ta tylko dobra, uprzejma dama należała do najszybszych umysłów swojego czasu.

Cnotliwą pani de Tencin (ur. 1681, um. 1749) nie była w latach młodych, ale cnota niewieścia nie należała do ideałów

jej czasu. Znażywszy się miłością i intrygami politycznymi, w których celowała, założyła w Paryżu pierwszy właściwy salon literacki. Aby być dopuszczonym do tego *bureau d'esprit*, wystarczało posiadać jakiś talent literacki. Pani de Tencin nie pytała kandydatów do swojego salonu o cen-
zus majątkowy lub pergaminy genealogiczne. Ona wprowadziła pierwszą literaturę w „świat“, zajęła się nią, protegowała ją bardzo serdecznie, wywalczyła dla niej prawo obywatelstwa w najlepszym towarzystwie stolicy.

Bardzo rozumna, bardzo wykształcona, lubiąca literaturę (była sama autorką), bawiła się pani de Tencin w latach starszych najlepiej w towarzystwie ludzi atalentowanych i oświeconych. Marivaux, Fontenelle, Mairan, Montesquieu byli jej gośćmi stałymi. Posiadała ona talent, bardzo użyteczny dla gospodni wielkiego salonu: umiała słuchać z uwagą i zajęciem.

Wybredniejszą w wyborze swojego towarzystwa była margrabina de Deffand (ur. 1698 † 1780), tak samo, jak pani de Tencin mająca za sobą burzliwą młodość. Nawskroś dama światowa, nie umiała żyć bez konwersacji salonowej i bez towarzystwa. Nawet straszliwe kalectwo (ślepotą), jakie ją dotknęło w r. 1753, nie odjęło jej ochoty do przewodniczenia licznemu ze-

braniu. Zamieszkawszy w klasztorze św. Józefa, przyjmowała codziennie mniejsze kółka bliższych przyjaciół, raz zaś na tydzień, z początku w niedzielę, następnie w soboty dawała wielką kolację, do której siadało kilkadziesiąt osób, panów i pań z najlepszego towarzystwa, kwiat świata paryzkiego.

I u pani de Deffand były literatura, nauka, filozofia osiłą, dokoła której obracała się konwersacja, i w jej salonie mia-
nowano geniuszów chwili, robiono sławę, rozdawano wieńce, posady, godności, ale tylko uczonym i literatom bardzo dobrze wychowanym, należącym do świata, jej *bureau d'esprit* bowiem było biurem inteligencji arystokratycznej, szlacheckiej.

Bardzo ożywionym był salon księżny de Chartres w Palais Royal, zrazu także tylko arystokratyczny, w miarę jednak, jak się pan domu, późniejszy Filip-Egalité, przystąpiwszy do opozycji, demokratyzował, jakobinizował, otwarty na rozezierz dla wszystkich przeciwników *ancien régime*, dla wszystkich wybitniejszych rewolucjonistów, nie wyjąwszy ks. Sieyès'a i Dantona.

Od r. 1750 należał do najgłośniejszych *bureaux d'esprit* Paryża salon marszałkowej de Luxembourg, pierwszego ślubu margr. de Boafflers, byłej kochanki księcia Conti, w którym królowali: akademik hr. de

Bissy, La Harpe, Gentil Bernard i przez pewien czas Jan Jakób Rousseau.

Marszałkowa, w młodości bardzo ładna, wesół, elegancka, w latach dojrzałych typ wytwornej matrony wielkiego świata, czytana, oryginalna w swoich sądach, była niewieścim arbitrem elegantiarum Paryża. Zwracała ona pilną uwagę na estetykę form towarzyskich, nie przestała być wykwintną w ruchach, w zwyczajach i toalecie mimo siwych włosów, była najwyższą instancją w rzeczach uprzejmości i grzeczności. W jej domu, nazywanym szkołą de la parfaitement bonne compagnie, akademią dobrych obyczajów, polerowała się młodzież francuska i cudzoziemska.

Oprócz pań: Tencin, Deffand, księżna Chartres, Luxemburg, otworzyły swoje salony dla literatury i nauki panie: de Forcalquier, księżna de Talmont, de Crussol, de Cambis, de Bussy, de Caraman, marszalka de Livry, marszałkowa de Beauvan, marszałkowa d'Auville, której dekoracją salonową byli Voltaire i Turgot, księżna d'Aiguillon, protektorka encyklopedystów, wielbicielka filozofii, zwolenniczka nowych prądów, młoda księżna de Rébecq, hrabina de Ségar i w. in.

Zwyczaj i upodobania arystokracji naśladowały, jak zawsze i wszędzie, finan-

se. I z bogaceni bankierzy, dzierżawcy cel: Samuel Bernard, Law, Grimod, Trudaine, Dumoley, de la Popelinière przyjmowali u siebie chętnie wszystkie znakomitości chwili, zwabiając je przepychem, bogactwem przyjąć. Nigdzie nie jedzono tak dobrze, jak u finansistów.

Salon dawał w wieku XVIII w Paryżu gościnnej, uprzejmej gospodyni rozgłos, sławę, stanowisko, a nawet nieśmiertelność. Nazwiska pań, które, bawiąc znakomitych gości, bawiły siebie, znane były nie w samej tylko Francji, lecz także całej Europie, i przeszły dzięki listom, pamiętnikom owych znakomitych gości do pamięci potomnych. Kiedy pani Geoffrin jechała do Warszawy, zaproszona przez króla Stanisława Augusta, przyjmowano ją wszędzie po drodze z honorami, należącymi się tylko bardzo wybitnym osobistościom.

W liście, pisanym z drogi, z Wiednia (12 Czerwca 1766 r.) do Butin'a, donosi pani Geoffrin pomiędzy innemi *): „Trzeba pana wiedzieć, iż podróż moja wywołała w Wiedniu daleko więcej wrzawy, niż w Paryżu. Temu dwa tygodnie wydał książę Kaunitz rozkaz do wszystkich poczt, aby

*) List ten przedrukowali bracia de Goncourt w swoich „Portraits Intimes du XVIII siècle“ wydanie z r. 1903, str. 140.

go uprzedziły o moim przyjeździe. Powiem panu w prostocie mojego serca, że spodziewałam się przepędzić tylko trzy do czterech dni w Wiedniu w oberży... Tymczasem stało się inaczej. Zaraz nazajutrz po moim przybyciu do Wiednia zapełnił się mój pokój lokajami, którzy przynosili mi zaproszenia na obiady. O godzinie jedenastej stawili się u mnie ambasadorowie wszystkich dworów i wszyscy wielcy panowie, których przyjmowałam kiedyś w Paryżu u siebie, z wyrazami wdzięczności i uczuć... Księżna Kińska przyszła do mnie i tak mnie całą zagarnęła, iż jesteśmy ciągle razem. Przyszedł książę Galicyn prosić mnie do siebie na obiad; przystał on mi do oberży wszystko, co mi było potrzebne, nie zapominając codziennie rano o kawie i śmietance. Jego karetą jest moja karetą... U księcia Kaunitza, który jest nie tylko tu pierwszym ministrem, ale w ogóle pierwszym ministrem wszystkich ministrów europejskich, przepędzam wszystkie wieczory, wyróżniana z całego towarzystwa; książę siedzi obok mnie i rozmawia ze mną z wielką poufałością... Nazajutrz po moim przyjeździe księżna Kińska i książę Galicyn zawieźli mnie na jakąś promenadę publiczną. Był tam cesarz z jedną z arcyksiężniczek. Przybył on na nasze spotkanie. Przypatrywał się mnie i dawał

znaki księżnie Kińskiej. Karetą zatrzymała się i zawołano: oto cesarz! Cesarz wyskoczył z powozu i podszedłszy do nas, rzekł, iż było mu bardzo pilno poznać mnie, bo wyjeżdża jutro do obozu... W Schönbrennie cesarzowa rozmawiała ze mną z nadzwyczajną dobrocią i łaskawością, i prezentowała mi wszystkie arcyksiężniczki i wszystkich młodych arcyksiążąt jednego po drugim..."

Tak przyjmowano, fetowano, zasypywano uprzejmościami panią Geoffrin, gospodynię jednego z głośnych salonów literackich Paryża.

Kimże była ta pani Geoffrin, którą tak honorowano? Może wielką, wykwintną damą w rodzaju margrabiny de Deffand lub marszałkowej de Luxemburg?

Bynajmniej!

Córka kamerdynera (ur. 1699 † 1775), żona fabrykanta zwierciadeł, który dorobił się małej fortunki, nie mogła w owym czasie mieć pretensyi do tytułu damy z towarzystwa.

Więc może była kobietą bardzo inteligentną, bardzo oświeconą, błyskotliwą *débauchée d'esprit*, utalentowaną, jak pani de Tencin, margr. de Deffand, pani d'Epinay, lub do nich podobne?

Także nie.

Pani Geoffrin czytała, uczyła się bar-

dzo mało, ortografii nawet nie znała, jak poświadczać jej listy. Nie ubiegała się zresztą wcale o opinię kobiety mądrej, sawantki; przeciwnie, przyznawała się sama bez wstydu do nieuctwa, nie brała nigdy udziału w dysputach swoich mądrych gości. Nasłuchawszy się przez szereg lat tych dysput, rozpraw, polemik, przyswoiła sobie oczywiście z czasem przez samo słuchanie pewną sumę ogólnych wiadomości; natrzymawszy się różnym charakterem, indywidualnościami, wyrobiła sobie z czasem przez bezpośrednią obserwację dobry sąd o ludziach, ale naturą niepospolitą nigdy nie była. Posiadała ona znaczną dozę zdrowego „chłopskiego rozsądku“, dużo wrodzonego taktu niewieściego, umiała godzić wszelkie sprzeczności, powstrzymywała trzeźwą uwagą gwałtowne, jaskrawe wybuchy młodych zapaleńców.

Była to natura typowo mieszczańska, praktyczna, spokojna, równa, bez uniesień, bez rzatów i fantazyi oryginalnych, trzeźwa, zręczna. Osebla, chłodna, nie zamykała szkatuły dla ubogich, dobroczynność bowiem należała do koniecznych zalet ówczesnej damy światowej; nie przywiązująca się sereem do nikogo, lekceważąca ludzi, nie szczędziła czasu, zachodów, trudów, gdy szło o poparcie któregoś ze stałych gości, z t. zw. parafian, protegowanie bo-

wiem talentów było jedną z główniejszych ambicyi prezydentek bureaux d'esprit; przyjmująca u siebie głównie encyklopedystów, wywrotowców, niedowiarków, ateuszów, chodziła pokrywoma do kościoła, do spowiedzi, aby się „nie narazić Boga“ i sferom wierzącym. Córka kamerdynera, przyjmowała literatów, uczonych i światowców innego dnia (w środy), a innego dnia artystów (w poniedziałki), nie chciała bowiem odstraszyć od siebie „towarzystwa dobrze wychowanego“, które nie dopuszczało w owym czasie do swoich salonów malarzów, rzeźbiarzy i aktorów. Trzeźwy, praktyczny, a naginający się umiejętnie do wszystkiego rozum był głównym rysem charakteru pani Geoffrin.

Czemże więc ta pospolita kobieta z drobnego mieszczaństwa zdołała przyciągnąć, zwabić do siebie, skupić w swoim salonie najwybitniejsze osobistości epoki — jakiej tajemnicy zawdzięczała wysokie we Francyi XVIII stulecia stanowisko pani, przewodniczki słynnego, poszukiwanego salonu?

Ambicya, próżność, zręczność i cierpliwość niewieścia dokonały tego cudu.

Żonie fabrykanta zwierciadeł zachciało się mieć taki sam salon literacki, jakie miały księżne, margrabiny, hrabiny i stworzyła go. Nie stało się to oczywiście od razu, bo któryż z ludzi światowych chciał-

by bywać u nieznanej nikomu mieszczki, kiedy tyle salonów wykwintnych czekało na niego?

Mądra pani Geoffrin zaczęła od bożków niższego rzędu, od początkujących dopiero, jeszcze nie uznanych literatów. Ci bożkowie niższego rzędu przyprowadzali swoich starszych znajomych, przyjaciół, starsi jeszcze starszych, już sławnych, głośnych, i salon pani Geoffrin zabłysnął w końcu wszystkimi gwiazdami chwili. Cała „Encyklopedia“ zaczęła się zbierać u fabrykantki luster, za encyklopedyą przyszedł „świat“ liberalny, postępowy, sprzyjający ideom wywrotowym, „świat“ w końcu wprowadził znakomitych cudzoziemców, bawiących, polerujących się w Paryżu. Z naszych osobistości znanych bywali u pani Geoffrin Poniatowscy, ojciec (kasztelan) i syn (późniejszy król).

Gorącą, kipiącą młodź „Encyklopedyi“ pociągał salon pani Geoffrin swobodnym tonem. U takich pań, jak Tencin, de Defand, Luxemburg, Epinay i in. trzeba było przez prostą przyzwoitość, mimo ich bawienia się w opozycję, w krytykę istniejącego porządku, uwzględniać tradycję historyczne gospodyń, w salonie zaś fabrykantki luster można było „rozpuścić gębę“ ile się podobało, bez obawy obrażenia uczuć pani domu. Co najwyżej, gdy się

zanadto rozpędziło, zarabiało się na lekką admonicję w formie uwagi, łagodzącej zbyt jaskrawą doktrynę. Allons, voilà qui est bien! odzywała się zwykle pani Geoffrin, gdy chciała przeciąć, zwrócić rozmowę zbyt polemiczną na inny przedmiot. Posiadała ona w wysokim stopniu dar uważnego słuchania nawet wtedy, kiedy nie rozumiała dysputy, co się jej bardzo często z powodu jej nieuctwa zdarzało. Sama mówiła niewiele, nigdy zaś o rzeczach, na których się nie rozumiała; opowiadała chętnie rzeczy wesołe, a opowiadała je dobrze. Jej doskonałą sylwetkę naszkicował Marmontel w swoich „Pamiętnikach“ *).

Stałymi, wiernymi aż do śmierci gośćmi pani Geoffrin byli: d'Alembert, Mairan, Chastellux, Marmontel, ksiądz Morrellet, Saint-Lambert, Helvétius, Thomas i panna de Lespinasse, których przyjmowała na t. zw. poufnych zebraniach. Omlet, karczeta i szpinak stanowiły na tych zebraniach poufnych zwykłą kolację.

Jeszcze swobodniej bawili się encyklopedyści, wywrotowcy, radykaliści u panny de Lespinasse, przyjaciółki d'Alemberta (ur. 1731 r. † 1776). Nieładna, ale bardzo utalentowana, oświecona, zapalająca się do

*) Marmontel: „Mémoires“ wydanie Barrière'a z r. 1891; str. 223 i następne.

wszystkich nowinek, płomiennej wyobraźni i gorących uczuć panna, skupiła dokoła siebie żywioły najzwawsze owego czasu. W salonie umiarkowanej, ostrożnej pani Geoffrin, nie mogli młodzi zapaleńcy wybuchać rakietami paradoksów. W salonie młodej, tak samo radykalnej, jak oni, panny de Lespinasse nie potrzebowali się krępować żadnymi względami. Mówili bez hamulca wszystko, co im ślina do ust przyniosła, byli u siebie. „Salon pani Geoffrin był oficjalnym salonem Encyklopedyi, salon zaś panny de Lespinasse jej parloir'em familijnym, buduaem, laboratoryum”—mówią bracia de Goncourt*).

Encyklopedystów przyjmowały także panie: d'Epinay, Marchais i in.

Przed samą rewolucją błysnął w Paryżu blaskiem szerokim salon pani Necker, wznoszący się, rozszerzający razem z rosnącym stanowiskiem męża pani domu, nasamprzód bankiera, potem ministra.

Pani Necker nie posiadała warunków na gospodynię salonu w stylu francuskim. Niemka z pochodzenia, nauczycielka z zawodu, została Niemką w Paryżu i nauczycielką w pałacu bankiera i ministra. Pozbawiona dowcipu, daru lekkiej, błyskotli-

wej konwersacyi francuskiej, ociężała, nadna pedantka, surowa purytanka, nie umiała gości swoich bawić, nie umiała nawet przyjemnie gawędzić. Był to typ ucziwej kobiety rasy germańskiej, wiernej żony, dobrej matki. Z miłości dla męża, ambitnego platokraty, pragnąc mu wyrobić stosunki, znajomości pożyteczne, otworzyła salon, wiedząc, że salon daje stanowisko w towarzystwie, że stanowiska zaś towarzyskiego wyklawają się godności i wysokie urzędy. Marmontel i Thomas byli pierwszymi sławnymi gośćmi jej salonu. Ci pionierowie „pozycyi” towarzyskiej państwa Neckerów sprowadzili innych, przyjaciół swoich i powoli zapełnił się dom bankiera „gwiazdami”, które dodały blasku jego nieznanemu nazwisku i pomogły mu do odegrania wybitnej roli politycznej, o jakiej marzył. Ozdobą salonu pani Necker była jej utalentowana córka, głośna później pani de Staël.

Salon pani Necker błyszczał na przełomie dwóch epok. Skończyła się robota przygotowawcza rewolucyi, a zaczęło się jej wykonanie. Nauka i literatura, krzewicielki i apostołki idei, doktryn rewolucyjnych, przygotowawszy grunt, oddały batutę polityce. Z r. 1789-ym schodzą ze stolic pań ze świata i z burżuazyi dzieła naukowe i literackie, filozofia, dramat, poe-

*) Edmund i Juliusz de Goncourt: „La femme du dix-huitième siècle”; wydanie z roku 1903, str. 487.

zya; miejsce ich zajmują broszury polityczne, dzienniki, proklamacje, świstki okolicznościowe. Jak się przed zwołaniem Stanów Jeneralnych wszystkie kobiety inteligentne, wszystkie *débâuchées d'esprit*, lub chcące uchodzić za mądre, zapalały do nauk ścisłych i do literatury, tak rzuciły się teraz z całą wrażliwością natur nerwowych w wiry polityki.

Z chwilą, kiedy Francja zaczęła politykować, politykowały przede wszystkim salony. Ponieważ opozycja, gwałtowna krytyka istniejącego porządku była w modzie, przeto poszły w tym kierunku wszystkie salony pań oświeconych bez względu na ich pochodzenie. Politykowano zawzięcie w salonach: pani Necker, hr. Beauharnais, margr. de Laval, de Beauvau, pani d'Astorg, hr. de Coigny, de Simiane, de Vauban, de Murinet, de Berchiny, de Gontaut, de Gou-verniet, de Broglie, księżny Hohenzollern, hr. de Tessé i wielu innych. Wszystkie te księżne, margrabiny i hrabiny były żarliwymi zwolenniczkami utopii Rousseau'a, namiętnymi stronnieczkami przewrotu, bawiły się w rewolucję dopóty, dopóki się rewolucja nie zabrała do ich głów umirotwianych.

Politykował nawet fraucymer. Czytamy w *l'Echappe du Palais*: Dziś cała płeć nadobna politykuje, mówi tylko o po-

lityce; nawet panny służące rozprawiają z paniami swojemi o polityce.

Z chwilą kiedy polityka wtargnęła do salonu, zmienia się jego ton. Dawniej, przed rewolucją, był salon szkołą dobrych form, dobrych obyczajów, gładkiego, uprzejmego słowa, areną wykwintnej, błyskotliwej, przyjemnej *causerie*; teraz stał się przedpokojem parlamentu, teatrem burzliwych rozpraw i sporów.

Polityka wniosła do salonu swoją namiętność, najczęściej bezwzględną, swoje gwałtowne ambicje i brutalne egoizmy, swoją arogancję, swój despotyzm, nieznośną cudzego zdania.

„Kobieta stała się Pentezileą — pisze H. Marya Williams (*Aperçu de l'état des mœurs*) siedzącą przy stole herbatnym, trzęsącą się z wściekłości. Wśród gwałtownych dysput, parząc sobie ręce, rozlewa herbatę na suknię.“

Politycy, posłowie, publicyści, agitato-ryzy byli panami, dekoracją, bohaterami salonów po r. 1789-ym. Odczytują oni przed ~~der~~propagiem drżących z ciekawości dam artykuły, odezwy, proklamacje, mowy, które mają nazajutrz wygłosić w Zgromadzeniu Narodowem. A piękne panie słuchają z zajęciem, wtrącają się do dysputy, cenzurują, poprawiają, żądają zmian, dodatków, na co się panowie zwykle zgadzają.

IV.

Pani de Condorcet.

Zdawało się paniom z towarzystwa francuskiego XVIII stulecia, tym wszystkim księżnom, margrabinom i hrabinom, które otworzyły w r. 1789 salony swoje na rozcież dla rezonującej, dysputującej rewolucyi, że burza rewolucyjna nie wyjdzie poza granice rozpraw sejmowych, że skończy się na reformach prawodawczych, przedy-skatowanych w Zgromadzeniu Narodowem.

Ale rewolucye posiadają fantazyę nierozważnej młodości, która nie umie się zatrzymać w rozpędzie, apetyt wilczy i drapieżność tygrysa.

Już sceny, towarzyszące wzięciu Bastylii (zabójstwo komendanta de Launay'a, Foulona, Berthiera) zerwały z rewolucyi maskę rezonującego ideologa, utopisty, od-

ślaniając okrutne, dzikie oblicze mordercy. Codziennie nadchodziły do Paryża, ze wsi i z miasteczek, wiadomości o zburzonych zamkach, spalonych plebaniach, zamordowanych okrutnie, najczęściej bez żadnej przyczyny, właścicielach ziemskich i księżach. A w stolicy wzmagala się z każdym tygodniem nienawistna wrzawa przeciw szlachcie i duchowieństwu. Tysiące, krocie świstków okolicznościowych, drobnych gazetek, manifestów, odezw, broszurek, przepojonych jadem paszkwila, spadały na głowy szlachty i klera, podburzając, krzycząc: śmierć arystokratom, na latarnię z nim!

Gdzie się liberalne szlachecianki pokazały: na ulicy, w teatrze, w operze, na promenadach, wszędzie słyszały dokoła siebie M. Lieutaada „litanię do latarni:“

Illustre lanterne! ayez pitié de nous!
Illustre lanterne! écoutez-nous!
Illustre lanterne! exaucez-nous!
Vengeresse de la nation française, vengez-nous!
Epouvantail des scélérats, vengez-nous!
Effroi des aristocrates, vengez-nous!

Kamil Desmoulins, utalentowany paszkwiliasta, lekkomyślny naganacz rewolucyi, „prokurator latarni“ wzywał bezustannie do wieszania arystokratów.

Nie nie pomogło szlacheciankom, że się zapaliły do nowinek, że wyznawały głośno

zasady rewolucyjne, że oddawały swoje brylanty, wypróżniały swoje szkutały na chleb na głodnych, że oklaskiwały mówców ze skrajnej lewicy Zgromadzenia Narodowego. Przyszły na świat z grzechem pierworodnym, urodziły się córkami zasażonych w przeszłości, historycznych domów, i grzech ten wystarczył do denuncjowania ich narodowi jako arystokratki, jako zdraczkini. Na ulicach wypraszały ich oberwańcy z powozów, wołając: za rok my będziemy siedzieli w środku, a wy z tyłu, na miejscu lokajów!

Powoli zaczęły zrewolucjonizowane księżne, margrabiny, hrabiny, kawalerowie stygnąć w zapale do niegrzecznej, źle wychowanej rewolucji, zaczęły kolejno zamykać salony polityczne, wycofywać się z wirów wywrotowych. Jedne zamknęły się w swoich zamkach na prowincji, inne wyjeżdżały zagranicę. Na głównym placu boju, w Paryżu, wytrwały tylko zapaleńsze entuzjastki, na czem dobrze nie wyszły.

Oto margrabina de Condorcet!

Kanoniczka Zofia de Grouchy, wyszedłszy za mąż za o lat dwadzieścia dwa od niej starszego margr. de Condorcet, słynnego matematyka i filozofa, sekretarza Akademii Umiejętności, przyjaciela Voltaire'a i Turgot'a, żarliwego rewolucjonistę, bezwzględny wyznawcę niezawisłego rozu-

ma, republikanina z przekonania, przejęła się zasadami męża z całym entuzjazmem młodej, płomiennej duszy. Aczkolwiek należała do kasty, której libertynizm etyczny zgasił święty zniechęcenie domowych, nie splamiła się miłostkami. Była wierną żoną i dobrą matką.

Condorcet należał do rodziny owych uczciwych teoretyków, którzy wierzą w możliwość wcielenia swoich teorii. Bałwochwalca niezawisłego rozumu—jako matematyk i filozof, wyznawca doktryn encyklopedystów, był przekonany, że powinien dyktować człowiekowi, narodowi, ludzkości, wskazówki postępowania, że tylko on jeden posiada moc i tajemnicę stworzenia idealnego państwa absolutnej sprawiedliwości i szczęśliwości. Jak jego mistrzowie, przyjaciele i towarzysze, nie uważał i on za potrzebne czerpać ze źródła tradycji historycznej, lekceważył doświadczenie przeszłości.

Wszyscy twórcy doktryny wywrotowej odeszli w krainy cieniów przed wybuchem rewolucji, przed r. 1789-ym. Jedyńemu Condorcet'owi sądzonemu było doczekać się wcielenia doktryny, patrzeć żywymi oczami na żywe skutki destruktywnej filozofii. Na co patrzył, co widział, nie utwierdziło go prawdopodobnie w wierze młodości.

Przeziąknęła nawskroś pojęciami i za-

sadami męża, pani Zofia de Condoreet, aczkolwiek posiadała w sferach rojalistycznych liczne koligacje, przyjmowała w swoim salonie tylko zdecydowanych rewolucjonistów. Bywali u niej: Mirabeau, Desmoulins, Cloutz, Cabanis i znakomici cudzoziemcy, sprzyjający przewrotowi.

Przewrót odbywał się szybko, szybciej, aniżeli się tego spodziewali jego twórcy. Rozsypał się w gazy dawny porządek, runął tron, król czekał w więzieniu na wyrok śmierci, ogłoszono rzeczpospolitą. Teraz rzucił się Condoreet z całą wiarą fanatyka w kipiątek rewolucyi — matematyk i filozof stał się politykiem, aczeppszy się Żyryndystów. On to był redaktorem manifestów Żyryndy, on zbudował jej konstytucję.

Nie była mu za to rewolucya wdzięczną. Rzuciwszy się na Żyryndystów, którzy jej zawadzali, wyciągnęła także krwawą rękę po Condoreet'a.

Chroniąc się przed zemstą republikańców, których nie obraził nawet we śnie, należał bowiem sam do nich, ścigany, tropiony, jak dziki, szkodliwy zwierz, zaszył się matematyk i filozof na poddaszu jakiejś odludnej uliczki paryzkiej w pobliżu pałacu Luksemburskiego, i pracował przez kilka miesięcy nad swoim ostatnim dziełem,

nad „Tableau des progrès de l'esprit humain.“

A jego żona, pani Zofia de Condoreet, wykwinna dama, kobieta, wychowana w najlepszym towarzystwie, nieprzyzwyczajona do trudu, pracowała tymczasem ciężko na gorzki, ubogi chleb dla męża, dziecka i siebie. Bo rząd republikański skonfiskował całe mienie „wyjętego z pod prawa zdrajcy“, odjął jemu i jego rodzinie wszelkie środki do życia.

Żona słynnego matematyka najęła na ulicy Saint-Honoré mały sklepik, w którym szyła i sprzedawała bieliznę, a w chwilach wolnych od tego wyczerpującego zajęcia malowała portrety Jakobinów, wrogów, katów swojego męża, którzy nie oszczędzali jej smatki, aragali jej nieszczęściu, znęcali się nad jej nędzą.

Od czasu do czasu, wieczorami, w dni ponure, dżdżyste, przemykała się pani Condoreet, przebrana za służącą, ciemnymi uliczkami do kryjówki męża, drżąc z obawy, aby jej wyżyły trybunały rewolucyjnego nie zwietrzyły, nie poznały. Przed mężem ukrywała starannie swoje smutki i bóle, swoją nędzę i poniewierkę, ale on widział bardzo dobrze na ukochanej twarzy bladość cierpienia i ślady łez gorących i truć swoją niemocą. Pomódz jej nie mógł, ale chciał przynajmniej od niej odwrócić

cios nierozumnej zemsty. Zbirowie trybunału mogliby ją kiedyś poznać, ując, a wówczas zginęłaby na gilotynie za to, że ośmieliła się kochać ściganego „zdrajcę.“ Przeto, skończywszy swoje ostatnie dzieło, Condorcet opuścił Paryż (dnia 6 Kwietnia 1794 r.) z zamiarem poszukania bezpiecznego schroniska na prowincyi u przyjaciół.

Ale przyszły już takie czasy trwogi i grozy, że przyjaciel zamykał drzwi przed przyjacielem z obawy przed szpiegami „komiteta bezpieczeństwa publicznego.“ Przekonawszy się, że znajomi, przyjaciele uciekają przed nim, jak przed upiorem, Condorcet błędził kilka dni w okolicy Paryża, sypiał w lesie. Znużony śmiertelnie, głodny, zaszedł do karczmy w wiosce Clamart, aby wypocząć, posilić się ubogą strawą. Lecz tu dobiegło go jego przeznaczenie. Jedząc, czytał. To podpadło oczom kilku chłopów, pijących w szynku. Kto czyta, jedząc, jest niewątpliwie arystokratą, zdrajcą narodu. Więc aresztowali „podejrzanego,“ a że biedak był tak wyczerpany, iż nie mógł iść o własnych siłach, włożyli go na taczki i zawieźli do więzienia, jak zdechłego psa, jak ściervo, jak gnój—jego, chlębę Francyi, ostatniego z filozofów, którzy wywalczyli wolność dla „narodu.“

Jakobini nie mieli jednak przyjemności patrzeć na spadającą pod nożem gilo-

tyny głowę Condorceta. Miał on przy sobie truciznę; otruł się.

Michelet dodaje: oszczędził on Rzeczypospolitej hańby ojcobójstwa, zbrodni zamordowania ostatniego z filozofów, bez których nie byłaby wcale istniała *).

*) Michelet: „Les femmes de la Révolution“ wydanie Juliusza Claretiego u Calmana Lévy, str. 109.

V.

Pani Bailly—Żony Dantona—Lucylla Desmoulins.

Rewolucya wyrzuciła na wierzch kobietę z mieszczaństwa, starszego i świeżego, której ancien régime bronił dostępu do szczytów społecznych.

Wszystkie to nowe „damy,” wychowane w skromnych warunkach, przyzwyczajone do pracy, do oszczędności, ogrzane w latach dziecięcych i dziewczęcych ciepłem ogniska domowego, rozkwitające pod troskliwem okiem rodziców, wchodziły w życie z sercem czystem. Prawie wszystkie, z nielicznymi wyjątkami, umiały szanować i wykonywać aczeiwie obowiązki żony i matki.

Trzy typy kobiece z mieszczaństwa odcinają się wyraźnie na barwnem, jaskra-

wem tle rewolucyi. Rysy pierwszego typu złączyły się w całość wypukłą w pani Bailly—przedstawicielkami drugiego były żony Dantona i Lucylla Desmoulins—trzeci znalazł doskonałe wcielenie w postaci pani Roland.

Jan Sylwian Bailly, astronom, historyk i polityk, dziecko braku paryzkiego, człowiek cichy, skromny, zagrzebany po uszy w książkach, ujrzał się nagle na najwyższym szczeblu drabiny społecznej. Wybrany w roku 1789 do Stanów Jeneralnych, wkrótce po otwarciu sejmu prezes Zgromadzenia Narodowego, i pierwszy mer potężnej gminy paryzkiej, stał się odrazu, w przeciągu kilku dni, jedną z najwybitniejszych osobistości Francyi.

Drwiarze gazeciarscy nazywali go le roi Sylvain.

Prezes Zgromadzenia Narodowego i mer Paryża w czasie rewolucyi, która zgasiła blask korony i obaliła tron, posiadał w istocie władzę, równającą się królewskiej.

Bailly, skromny uczony, przestał pisać, czytać, patrzeć w gwiazdy i w książki, rzucił cyrkle, teleskopy, pióro, a zaczął udzielać audyencyi, jeździć do Wersalu, do króla, strofować ministrów, generałów, rozkazywać ulicy, Paryżowi; miał 60,000 fran-

ków pensyi, dwóch sekretarzów osobistych, kilku lokajów, własny powóz, konie.

Jakże się te niespodziewane splendory nie miały podobać małej, tłusciutkiej pani Bailly, jeszcze temu tydzień, dwa, nie śmiejącej podnieść oczu na ludzi, którzy ją teraz z uszanowaniem po rękach całowali? Łóżko jej wyglądało jak tron, pościel na niej była ze złota i aźurów; lepszych, kosztowniejszych mebli nie znalazłby nikt w pałacach książęcych.

Poczeiwa, dobra pani Bailly! Wprawdzie obrąbiała jeszcze chustki męża i patrzyła słuźbie na palec, aby nie rozlewała przy obiedzie za wiele wina, bo nie przestała być oszczędną gospożą, ale nie poznawała już wczorajszych przyjaciółek, które się na jej pychę skarżyły, i nie pozwalała mężowi wychodzić na ulicę bez asysty dwóch lokajów.

Mer z Fontenay, stary przyjaciel Bailly'ego, przyjechał do „króla Sylwiana“ w odwiedziny. Przyjechał na osiołku, bez żadnej ceremonii, i bez żadnej ceremonii, jak w domu draha z lat chłopięcych, przywiązał swojego wierzchowczyka też obok karety wielkorządcy stolicy. Zaraz otwiera się na rozkaz pani Bailly okno w ratuszu, a z tego okna wychyla się wściekła głowa pana Boucher (jeszcze temu miesiąc takiego nędzarza, iż posiadał w całym majątku

jedną podartą koszulę, którą codziennie sam pierał, obecnie pierwszego sekretarza Bailly'ego) i ta wściekła głowa rzuca się, wrzeszczy, krzyczy: „ty chamie, ty taki, owaki, jak śmiesz ocierać się o karetę pana mera Paryża!“ *).

Poczeiwa pani Bailly! Przewróciło się jej w pastej głowie na wyżynach—niespodziewane splendory odjęły jej rozum. Była ona typem pospolitej parweniuszki, których rewolucya wydała wielkie mnóstwo.

Nie wiedziała pani Bailly, że rewolucye bywają niewdzięczne, że w czasach burzliwych zjeżdża się z taką samą szybkością na dół, z jaką wjechało się na górę. Gdyby była chciała otworzyć dobrze uszy, byłaby uchwyciła niewątpliwie groźny pomruk zazdrosnej ulicy, który szedł za karetą jej męża: „Pamiętaj, że płacimy ci 60,000 franków nie za to, żebyś robił, co ci się podoba, lecz za to, żebyś robił to, co się nam podoba. Jeżeli nie będziesz posłuszny... fiat voluntas... latarnia!“

Niedługo pławiła się pani Bailly w blaskach zaszczytów męzowskich. Już w r. 1791 zrzekł się „król Sylvain“ merostwa, a w Listopadzie 1793 ucieli mu Jakobini głowę.

*) E. et J. de Goncourt: „Histoire de société française pendant la révolution;“ wydanie z r. 1904, str. 84.

Typowi drugiemu kobiety z mieszczaństwa nie przewróciło się w głowie na zawrotnych szczytach, na jakie go rewolucja wyrzuciła.

Jeśli kto, to mogła pierwsza żona Dantona stracić przytomność, równowagę. Córnica handlarza limonady, kobieta z ludu, bez żadnej kultury, znalazła się nagle, jak w bajce, w pałacu ministra. Była panna sklepowa w cukierence ojca na Nowym Moście (Pont Neuf) ministrową!

Taka pani Bailly byłaby się jeszcze więcej nadeła... A pani Danton została sobą... dobrą, uczciwą, kochającą żoną i troskliwą matką. Niezwykłe powodzenie nie tylko jej nie olśniło, nie odarzyło, lecz przeciwnie, zwały się na nią takim ciężarem, iż ją starło, zgniotło.

Bo główną treścią tego typu była dobroć niewieścia, wszystko zaś, co się dookoła niego działo, targało, zakrwawiało serce.

Córka handlarza limonady wyszła za młodego, ubogiego adwokata bez klientów. Jej miodowe miesiące nie były słodkie. Gdyby nie pomoc ojca, który dawał dziecku co tydzień laudora, przymierałaby z mężem głodem.

Wkrótce po słabie zerwała się burza rewolucji, straszna, okrutna. Danton był głównym wihrem tej burzy, szalał w pierw-

szych szeregach, deptał, drzgotał, zabijał. Niepewność jutra, ciągła trwoga o głowę męża, litość dla zamordowanych ofiar, poszarpały nerwy dobrej kobiety. Kiedy Danton rzucił ulicę, przedmieścia na Tailerye, podniósł krwawą rękę na tron Barbonów, pani Danton tonęła we łzach, mdlała, odchodziła od przytomności. Odwieść gwałtownika, który szedł naprzód z pochyloną głową, jak byk rozjuszony, nie mogła. Co było w jej mocy, robiła: prosiła, zaklinała, płakała. Po zburzeniu tronu, błagała męża, aby ocalił króla i jego rodzinę. Danton uległ łzom żony, chciał wydrzeć głowę Ludwika XVI z mściwej paszczy rewolucji, w ostatniej jednak chwili ulękł się grózb Góry i głosował za śmiercią króla. Do hrabiego Lametha, który, stawiając na kartę własne gardło, przybył z Szwajcaryi, z bezpiecznego schroniska do Paryża prosić go o pomoc dla króla, rzekł: nie mam nic przeciwko temu, ale potrzeba mi miliona franków do przekupienia tych kpów z Góry.

Milion nie znalazł się i Ludwik XVI zginął na gilotynie.

Straszna sława męża, jego władza, zdobyta mordami, zabiła panią Danton. Płacząca, „drżąca weszła do fatalnego ministerstwa sprawiedliwości, a wyszła z niego ugodzona śmiertelnie. Była cieniem, kiedy

znalazła się znów w skromnem mieszkanku przy pasażu du Commerce“ *).

W kwiecie wieku zgasała ta cicha, dobra, szlachetna kobieta, osierociwszy dwoje dzieci. Danton opłakiwał szczerze pierwszą żonę — swoją pierwszą miłość, wierną towarzyszkę lat ciężkich, ubogich, bo kochał ją prawdziwie.

Kochał ją prawdziwie, ale po swojemu. Miłość do żony nie powstrzymywała go bynajmniej od korzystania z uprzejmości innych kobiet. Krwawy rewolucjonista, który ani grał, ani pił, nie lubił aciech dzbana ani zielonego stoika, latał za każdą spódnicą! Była to jego jedyna namiętność, na którą nie szczędził pieniędzy, gdy się do nich dorwał.

Wiedziała o tem pani Danton i dlatego pomyślała dla niego na łożu śmierci o drugiej żonie. Tą wybraną przez umierającą była szesnastoletnia panna Ludwika Gély, córka byłego woźnego parlamentu, któremu Danton, zostawszy ministrem, wyrobił dobrą posadę w marynarce.

Ale rodzina Gély nie sprzyjała rewolucyi, nie zachwycała się jej znakomitościami. Żarliwie katolicka i rojalistyczna spoglądała na Dantona, na swojego protek-

*) J. Michelet: „Les femmes de la révolution,“ jak wyżej; str. 257.

tora, jak na drapieżnika. Szpetny, ponury trybun lada nie podobał się łagodnej, nabożnej pannie, odpychał ją, napełniał odrazą. Daremnie chował „barbarzyniec“ pazury wileże, odgrywał rolę baranka. Gélyowie mieli wstręt do autora zamachu na Tailerye i rzezi więźniów. Chcąc go się pozbyć, wiedząc, że był wrogiem chrześcijaństwa, katolicyzmu, oświadczyli, że nie wydadzą córki bez ślubów kościelnych. Zmysłowy jednak, zakochany Danton nie stawiał temu warunkowi żadnej przeszkody. Nietylko zgodził się na ślub kościelny, lecz poddał się nawet bez namysłu całemu rygorowi wiernego katolicyzmu: wypowiedział się przed księdzem niezaprzyśiężonym, akrywającym się w stodole przed karzącą ręką sprawiedliwości republikańskiej, której głównym przedstawicielem był właśnie penitent.

Nie było sposobu: trzeba było wydać pannę za terrorystę. Z ciężkiem sercem, z bólem ślabowała panna Gély Dantonowi miłość, wierność i posłuszeństwo.

Dragie małżeństwo nie przyniosło pierwszemu ministrowi sprawiedliwości republikańskiej szczęścia — przyspieszyło jego śmierć na szafocie. Rozkochany w młodziankiej żonie Danton, zleniwał, zgnuśniał, żył tylko dla miłości, zapomniał o Bożym świecie. Prawdopodobnie wpłynęła także

katolicka, rojalistyczna, bardzo nabożna pani Ludwika na ostudzenie jego furoaru rewolucyjnego, złagodziła miękką ręką dobroci jego gwałtowny temperament.

Z tego zniewieścienia trybuna skorzystali zazdrośni, obawiający się jego potęgi i zdusili olbrzymia.

Razem z Dantonem zginął na szafocie Kamil Desmoulins, którego żona Lucylla, należy do najjaśniejszych postaci rewolucyi.

W r. 1785 zamieszkał na facyatce hoteliku paryzkiego de Bretagne przy ulicy Saint-André des Arts dwudziestopięcioletni adwokat bez klientów. Brzydki, chaderlawy, ubogi, przymierający często głodem, jękała, nie mający nie lepszego do roboty, siadywał całemi godzinami w oknie i przypatrywał się przechodniom.

Obok hoteliku był dom, należący do jakiegoś pana Duplessis, urzędnika skarbowości, który, wyszedłszy z ludu, dorobił się pracą i oszczędnością stanowiska i mająteczką. Z tego domu wychodziły codziennie o pewnych godzinach dwie postacie niewieście: bardzo przystojna kobieta w sile wieku i bardzo ładna, drobna, wiotka, trzy-nastoletnia, jasnowłosa dziewczynka.

Młody, brzydki, głodny zwykle adwokat przypatrywał się ciekawie matce i córce, śledził je z zajęciem przez rok, przez

dwa, w końcu zakochał się w ślicznej dziewczeczce.

Tym adwokatem był Kamil Desmoulins, głośny wkrótce rewolucjonista—tą miłą blondyneczką była panna Lucylla Duplessis, od r. 1790 pani Kamilowa Desmoulins.

Nie od razu zgodził się ojciec Lucylli, człowiek praktyczny, rozważny, na małżeństwo córki z adwokatem bez klientów. Dopiero, kiedy rewolucya rozślawiła nazwisko nieznanego nikomu młodzieńca, kiedy cały Paryż zaczął okłaskiwać odważnego wywrotowca, nie opierał się dłużej prośbom żony i córki. Dnia 29 grudnia 1790 r. połączył ksiądz Berardier, dyrektor lyceum Ludwika Wielkiego, w którym się Desmoulins kształcił, kochającą się parę słabem dozgonnym. Drużbami i świadkami byli: Mercier, Péthion, Briscot i Robespierre.

Desmoulins stanął, jak wiadomo, od razu w pierwszych szeregach radykalnych rewolucjonistów. On to podniecał gości kawiarni Palais Royal do pochodu na Bastylię, on podburzał jeden z pierwszych lud paryzki przeciw królowi. Upił się do tego stopnia szybkim powodzeniem, łatwą sławą, iż zdawało mu się, że rewolucya, na którą się sto lat składało, była jego dziełem. Z całą naiwnością młodego chłopca, któremu się w głowie przewróciło, pisał do

ojca: „znakomita większość stolicy zalicza mnie do głównych autorów rewolucyi; są nawet tacy, którzy mnie nazywają jej twórcą.“ Właściwie był on tylko jej dzwonem alarmowym, jej krzykliwym enfant terrible.

Bardzo wrażliwa pani Lucylla, wychowana w środowisku sprzyjającym rewolucyi, oddana mężowi całą duszą, przejęła się jego zasadami. Wierzyła w tryumf jego idei, w czystość, uczciwość jego przekonań, uwielbiała go za jego odwagę. Lecz nie wychodziła z nim na ulicę, do kawiarni, do klubów, nie brała czynnego udziału w życiu politycznem, nie wysuwała się do przodu, jak pani Roland i inne działaczki.

Zamiast mieszać się do spraw, które przerastały jej siły, otoczyła męża serdeczną opieką, stworzyła mu ciepłe ognisko domowe, była mu kochającą żoną.

Rodzice jej posiadali w Bourg-la-reine wiejski domek z ogródkiem. Tu spędzała młoda para miesiące wiosenne, tu gruchała zdala od łoskotu rewolucyi, zapatrzona w siebie, nie widząc nic poza sobą. Tu wpisała pani Lucylla w r. 1791 do swojego pamiętnika czterowiersz, świadczący o jej szczęściu:

Qui que tu sois, quand tu serais l'Amour.
Garde—toi be troubler la paix de cet asile

Respecte ce riant séjour
De l'innocence et de Lucille.

Ale rowolucye nie lubią sielanek.

Zbyt głośnym wywrotowcem był Kamil Desmoulins, zbyt daleko się posunął, by mógł odpoczywać przed skończeniem roboty w ciepłych, wonnych objęciach miłości.

Był on rewolucyi potrzebny. Nikt tak, jak on, cięty satyryk, bezwzględny pamfletista i paszkwilista, nie potrafił wydrwić, podać na pośmiewisko ulicy jej wrogów, nikt nie rzucał z taką lekkomyślną łatwością dokoła siebie szubienicami, latarniami, gilotyną, nawołując tłumy do mściwej, krwawej roboty. Jakaś była bardzo wymownym na papierze.

Padaly głowy na szafocie, jedna po drugiej, ginęli ludzie na ulicach miast, na drogach wiejskich. Z gwałtownością huraganu zmiatała rewolucya ezerepy „arystokratów“ i przyszła chwila, kiedy zabrakło gilotynie jej strawy ulubionej. Więc zaczęli się demokraci, republikanie nawzajem zarzynać. Kto mocniejszy, brał za łeb słabszego.

„Prokuratorowi latarni,“ którego lekkomyślność posłała tylu ludzi na szafot, przestała się ta straszliwa kośba podobać. Był tak szczęśliwym! Miał ładną, kocha-

jącą żonę, miłuchne dzieciątko, dobrobyt; był sławny, uznany. Gdyby się rzeczpospolita zabrała także do jego gardła? Tragedya po sielance? Trzeba zawrócić, powstrzymać oszalałego byka rewolucyi.

Desmoulins taki wojowniczy, taki bezwzględny, taki uradowany dopóty, dopóki burza zmiatała głowy „podłych arystokratów,” zaczął po egzekucyi Żyrondistów wołać pełnym głosem: *clémence, clémence, miłosierdzia, litości, dosyć morda!*

Daremnie zwracali przyjaciele jego uwagę na gniew nowych władców, którzy nie znosili najlżejszej krytyki. Nie słuchał, perorował przeciw okrucieństwu trybunału rewolucyjnego. Daremnie prosili panią Lucyllę, aby wpłynęła na męża, odwróciła go od niebezpiecznej zabawki. Ona, kochająca żona, wierząca w gwiazdę męża z całą wiarą miłości, odpowiadała: nie przeszkadzajcie mu spełnić przeznaczenia; niech zbawi Francję.

Francji nie uwolnił Desmoulins od smoka terroryzmu, ale zgubił siebie i żonę. Uwięziony dnia 20 marca 1793 r., dał wkrótce potem gardło.

Z więzienia luksemburskiego, gdzie czekał na wyrok, pisywał listy do „swojej Lucylli, Westy, anioła,” tak przesiąkłe łza-

mi, niemocą, rozpaczą, miłością, iż listy te byłyby wrzaszyły nawet żonę obojętną.

A pani Lucylla była żoną kochającą. Razem z matką błdziła przed więzieniem, wlepiła oczy, suche od łez wypłakanych, w zakratowane okna, szukała sposobów do ocalenia męża, udawała się z prośbą, z błaganiem do Robespierre'a, do znanych w jej domu często przebywających członków Konwencji, stukała do wszystkich drzwi i bram. Robespierre, kolega szkolny i przyjaciel Kamila Desmoulins od lat najmłodszych, jego drażba weselny, nie raczył odpisać na listy, inni władcy ze strachu przed nim zbywali ją bezpłodnymi pociechami.

Natarczywa petentka stała się niewygodną. Lud mógłby się nad jej bólem aliotować... Trzeba było i ją usunąć...

Trybunał rewolucyjny rozkazał Lucyllę Desmoulins uwięzić. Kiedy usłyszała wyrok śmierci „za spiskowanie w celu uwolnienia więźniów,” zawołała: „o radości! za kilka godzin ujrzę mojego Kamilla!”

Umarła ze spokojem i godnością rzymskiego gladyatora.

Zabójstwo tej czystej kobiety, tej Julii rewolucyi, tego białego kwiatka, wyrosłego z kałuży krwi, należy do najpodlejszych zbrodni rewolucyi.

VI.

Pani Roland.

Obok żon Dantona i Lucylli Desmou-lins, cichych, skromnych, czystych westalek ogniska domowego, podnosi się dumna postać pani Roland, której nazwisko błyszczy w pierwszych szeregach bojowników rewolucyi.

Córka miedziorytownika Phlippon'a, który wyszedł co dopiero z ludu, należała w pierwszym pokoleniu do drobnego mieszczaństwa. Ubodzy rodzice nie mogli jej dać wyższego wykształcenia owego czasu, którego jej dusza ciekawa gorąco pożądała. Chełwa wiedzy, bardzo pracowita, uczyła się dziewczyna sama. Już w ósmym roku życia czytała Plutarcha, później Rousseau'a, w końcu wszystkich autorów, którzy rozniecili pożar rewolucyi. Bardzo

zdolna, obdarzona darem spostrzegawczym, wzniosła się umysłowo bardzo wysoko ponad warstwę społeczną, do której należała pochodzeniem.

Wszelkie samouctwo ma to do siebie, iż bywa zawsze jednostronne i chaotyczne. Ucząc się, czytając bez porządku, bez przewodnika, bez metody, chwytając łapczywie wszystko, co mu w ręce popadnie, albo co go pociąga, samouk nie ogarnia nigdy krytycznie całokształtu danego przedmiotu, nie umie odróżnić ziarn od plew. Wszystko go zadziwia, olśniewa, przekonywa. Na dziewczęcej, nieuprawnej roli jego umysłu przyjmują się najłatwiej teorie jaskrawe lub głośnie brzmiące, paste ogólniki, frazesy.

Pannie Manon Phlippon zdawało się, że umiając na pamięć Plutarcha, że przeczytawszy Rousseau'a, Mably'ego, Raynala, posiadała wszystkie mądrości świata. Zapamiętrzywszy się głównie, jak Żyromdyści, w autorów klasycznych, stworzyła sobie tak samo, jak oni, oderwany od życia ideał klasycznej rzeczypospolitej. Była ona republikanką już wówczas, kiedy o zburzeniu tronu Barbonów nie myśleli nawet Danton i Robespierre.

Na jej przedwczesny republikanizm wpłynęły nie same tylko wzory klasyczne. Ta dziewczyna z ludu przyszła na świat z duszą niezwykle ambitną. Upokarzała ją,

dławiła wszelka wyższość przypadkowa, oburzały ją: tradycja rodowa, nazwisko historyczne, majątek, stanowisko towarzyskie, wykwintne formy potomków starej kultury, wszystko, słowem, czego jej los odmówił. Czuła się w ambicyi swojej tak cnotliwą, rozsądną, doskonałą, iż „nie widziała dla siebie na świecie innej roli, oprócz Opatrzności,” a gminne pochodzenie i ubóstwo zepchnęły ją w niziny społeczne. Darować tego nie mogła losowi.

Cały żal, cała nienawiść rasy świeżej, silnej, niezażytej, do spracowanego stroja państwowego, który nie pozwalał się rozwijać swobodnie nowym ludziom, trzymał ich na obroży przywileju, zogniskował się w męskiej duszy tej niezwyklej kobiety. Nienawidziła ona monarchii nie tylko dlatego, że była z przekonań republikanką, lecz może jeszcze więcej dlatego, że nie znajdowała w niej miejsca dla siebie, dla swoich ambicyi. Była ona najplastyczniejszą przedstawicielką licznego legionu kobiet przedrewolucyjnych z mieszczaństwa, które uprzywilejowane stanowisko szlachcianek opokarżało, obrażało.

W czasach spokojnych, nie mając sposobności do gwałtownego wybuchu, byłby się ogień jej duszy ambitnej strawił powoli, zgasł. W rewolucyi jednak, która wywraca wszystkie istniejące wartości i porządki,

która otwiera na rozcież wrota dla wszelkich zdolności, ambicyi, a nawet podłości, masiała ta dusza płomienna błysnąć blaskiem jaskrawym.

W r. 1779 zaślubiła panna Manon Phlippon znacznie od siebie starszego Rolanda. Małżeństwo to podniosło ją o cały stopień wyżej, Roland bowiem, urzędnik skarbowości (*inspecteur des manufactures*), autor rozpraw ekonomicznych, należał już do rodziny starszej kultury. Pod kierunkiem światlejszego i lepiej od niej wychowanego męża dopełniła edukacyi. Uczyła się w pierwszych latach małżeństwa dużo, przypatrzyła się ludziom lepszych sfer, wyrobiła się amysłowo i towarzysko.

Państwo Roland dobrali się.

Wprawdzie nie stał obok nich Amor na kobiercu ślubnym, kiedy przysięgali sobie miłość i wierność, ale za to łączyły ich wspólne ideały polityczne, upodobania i cele. Roland był, mimo lat pięćdziesięciu, takim samym „entuzystą wolności,” jak jego młoda żona. Z laską w ręku chodził w swojej okolicy od wsi do wsi i uczył chłopów „nowej ewangelii,” czyli nienawiści do istniejącego porządku. Wielbiciel doktryn Rousseau'a, oświecony podług recepty encyklopedystów, Roland zgadzał się we wszystkim z panią Manon. Nie tak lotnego, wrażliwego amysłu, jak ona, nie tak zdolny,

trochę ocieężały, pedantyczny biuralista przeszedł powoli pod pantofelek radykalniejszej, żwawszej połowicy.

Pani Roland była troskliwą i wierną żoną. Nieprzyjaciele jej starali się ją później zniesławić, pomawiając ją o romans z Bazotem, było to jednak tylko zwykłe oszczerstwo polityczne. Zbyt dumne serce biło w piersi bojowniczeki rewolucyi, by je miała splamić nieuczciwością małżeńską.

Pędząc przez lat dziesięć ciche, monotonne życie na wsi w la Platière, w pobliżu Villefranche, niedaleko od Lyonu, oddana mężowi, córce i książkom, dojrzewała pani Roland do swojego przeznaczenia, do roli, jaką miała odegrać w rewolucyi. Od czasu do czasu wpadał do jej zacisznego austruonia z trzaskiem rakiety jakiś gorący list któregoś z późniejszych działaczy, znajomych jej męża (Brissota i in.), lub ożywiła jej dni szare jakaś wiadomość o rozpoczynającym się ruchu rewolucyjnym.

Przyszła rewolucya!

Roland, wybrany posłem do zgromadzenia Prawodawczego, musiał się udać do Paryża (w latym 1791 r.). Pospieszyła za nim oczywiście żona, drżąca z niecierpliwości, wniebowzięta z chwilą rozpoczęcia się burzy, na którą czekała z bijącym sercem, spodziewając się od niej raju na ziemi.

Na samym jednak wstępie spotkało ją rozczarowanie. Entuzjastka wolności, żarliwa republikanka, naczytawszy się w austruonia wiejskiem historyków rzymskich, wymarzyła sobie ideał rewolucjonisty. Wierzyła, że głośni już wywrotowcy są ostatnim wyrazem wszystkich cnót i talentów, że świecą, jak słońca bezplamne, na tle spróchniałej kasty uprzywilejowanych.

I cóż ujrziała?

„Śledziłam rozwój rewolucyi, pracę Zgromadzenia, badałam charaktery i talenty jego głównych przedstawicieli z zajęciem, które może sobie wyobrazić tylko ten, kto zna natury mojego pokroju i mojej ruchliwości — opowiada w swoich pamiętnikach *) — Biegałam na posiedzenia sejmowe. Widziałam potężnego Mirabeau'a, zdumiewającego Cazalès'a, odważnego Maury'ego, podstępnych Lameth'ów, chłodnego Barnave'a; zauważyłam z przykrością po stronie czarnych ten rodzaj wyższości, którą dają w zgromadzeniach: zwyczaj reprezentacyi, czystość języka i manieri dystygowane.“

Więc nie z jej bajnej wyobraźni wykwitli radykaliści olśniewali spróchniałych niedobitków ginącego porządku, lecz talen-

*) Pani Roland: „Mémoires,“ wydanie Biblioteki Narodowej (Bibliothèque Nationale) tom I, str. 74.

tami oratorskimi i godnością zachowania odznaczali się właśnie owi przedstawiciele starej kultury, owi wstrętni jej „czarńi“ (szlachta i duchowni).

W pierwszej chwili pocieszyła się, że jej współwyznawcy, aczkolwiek niżsi od przeciwników talentem i ogładą towarzyską, „powinni zwyciężyć siłą rozumu, odwagą prawości, światłem filozofii...”

Tylko w pierwszej chwili... Wkrótce bowiem rozczerowała się i pod tym względem.

Radykaliści rewolucyjni z roku 1791, przeważnie młodzi adwokaci z prowincji, znani pod zbiorowem przezwiskiem Żyrondistów, oglądali się za jakimś miejscem zbornem, za jakimś salonem, w którymby się mogli porozumiewać. Ale salon francuzki bez kobiety inteligentnej nie jest salonem.

Państwo Roland przybyli w samą porę do Paryża. On, człowiek względnie zamężny, mógł sobie pozwolić na „dom otwarty,” ona, kobieta młoda, urodziwa świeża, zdrową urodą dziecka z ludu, bardzo inteligentna, kąpiąca się z rozkoszą w spienionej fali życia politycznego, żarliwa republikanka, posiadała wszystkie warunki do prezydowania w salonie rewolucyjnym.

Z początku nie prezydowała. Była jeszcze zbyt nieśmiałą, by się odważyła narzucać swoje zdanie ludziom, już znanym,

głośnym z działalności politycznej. Kiedy: Brissot, Buzot, Barbaroux, Pétion, Monge, Robespierre, Clavières, Gensonné, Servan, Vergniaud, Guadet, dysputowali w jej saloniku, ona siedziała skromnie na uboczu, zajęta jakąś ręczną robotą, albo pisanie listów, nie biorąc udziału w rozprawach. Ale jej uważnemu, ciekawemu ucha nie uszło ani jedno słowo; była ona całą duszą wpośród dysputujących. „Bywało, że zagryzała usta, by nie wtrącić swojego zdania”—przyznaje się. Dopiero kiedy goście wyszli, dzieliła się z mężem swojemi obserwacyami.

Bardzo niepoehlebne dla twórców rzeczywistej francuzkiej były te obserwacje kobiety bardzo bystrej, bardzo uważnej, sięgającej głęboko w duszę ludzką. „Byłabym nieraz z niecierpliwości spoliczkowała tych mędrców, których uczyłam się codziennie więcej szanować za uczciwość ich dusz, za czystość ich zamiarów. Doskonali rezonerowie, dobrzy filozofowie, uczeni politycy w dyskusji, ale nie mający wyobrażenia o rządzeniu ludźmi, a wskutek tego o wpływaniu na zebrania, marnowali ci panowie swoją wiedzę i zdolności“ *).

Bardzo grzecznie obeszła się mądra

*) Pani Roland „Mémoires,” jak wyżej, tom I-szy, str. 79.

kobieta ze swojemi przyjaciółmi. Gdyby nie byli „cnotliwymi republikanami,“ byłaby powiedziała poprostu: chcecie być rządca-
mi wielkiego narodu, budowniczymi wiel-
kiego państwa, a jesteście tylko rezonują-
cymi doktrynerami, którzy nie mają poję-
cia o życiu i naturze ludzkiej.

Później, gdy ją okoliczności zbliżyły do władców nowej Francyi, do ministrów republikańskich, nauczyła się pani Roland, która się ciągle od życia uczyła, tej starej prawdy, że sztuka rządzenia ludźmi należy do najtrudniejszych na świecie: „Nie byłaby nigdy wierzyła, gdyby mi okoliczności nie były pozwoliły tego doświadczyć, iż bardzo trudno o jasny sąd i silny charakter. Jak mało ludzi jest zdolnych do prowadzenia spraw, a jeszcze mniej do rządzenia! Chcecie połączenia tych zalet z doskonałą bezinteresownością? Oto feniks prawie nie-
możliwy do odnalezienia. Nie dziwię się teraz wcale, że ludzie wyżsi, postawieni na czele państw, mają zwykle wielką pogardę dla rodzaju ludzkiego. Jest to rezultat prawie konieczny wielkiej znajomości świata“^{*)}).

Szkoda, że pani Roland zdobyła tak późno ową „wielką znajomość świata,“ gdy-
by się jej bowiem była wcześniej nauczyła, nie byłaby może nienawidziła tak mściwie

^{*)} Pani Roland: „Mémoires,“ j. w. t. II, str. 95.

„dobrego króla,“ jego żony, jego dzieci i otoczenia. Mimo pozornej wstrzemięźli-
wości, wpływała ona za pośrednictwem Ży-
rondystów na przebieg wypadków, przyczy-
niła się do upadku monarchii konstytucyj-
nej, a w dalszym ciągu do rozkwitu tero-
rystycznego despotyzmu, którego ofarą sa-
ma padła. Ale doktrynerzy bywają zawsze
dopiero mądrzy po szkodzie.

Pani Roland przybyła do Paryża w ro-
ku 1791 taką samą dyletancką doktrynerką
polityczną i filozoficzną, jaką była cała
ówczesna nowa, świeża inteligencja Fran-
cyi. Ci wszyscy adwokaci i kupey provin-
cyonalni, którzy odegrali w dziejach swo-
jego narodu rolę tak wielką a tak fatalną,
nie byli przygotowani do rządów, a tem
mniej do budowania nowej maszyny spo-
łeczno-politycznej; zbywało im wszystkim
na znajomości życia i natury ludzkiej.

Jak Żyrondyści, lekcważyła pani Ro-
land króla, nienawidziła szlachty i ducho-
wieństwa, swoim tylko przypisując wszel-
kie enoty i zdolności. Jak oni, była poli-
tykiem książkowym i dyletanckim filozo-
fem, t. zw. esprit fort, mocną głową,
której Kościół zawadza. Jak oni, kochała
się w szerokich, brzmiących, pustych fra-
zesach i grzeszyła arogancją świeżej, w og-
niu doświadczenia jeszcze nie wytrawionej
rasy.

Wszyscy, oprócz jej przyjaciół, byli w jej oczach głupcami, niedościgami, obłudnikami, zdrajcami.

Ludwik XVI miał w czasach ogólnej niewiary odwagę przyznawać się do uczuć religijnych, do chrześcijaństwa, do katolicyzmu, ergo nie był „filozofem,” czyli był głupcem.

Szlachta podrwiwała z ambieyi, z doktrynerstwa, z bombastycznej gadaniny polityków prowincjonalnych, więc na latarnię z nią, ze „śmierdzącą, obłudną arystokracją“ (*per fide puante aristocratie*).

Duchowieństwo nie chciało się sprzeniewierzyć swojej władzy legalnej, Stolicy Apostolskiej, i nie chciało nauczać filozofii zamiast religii, przeto powinno być wypędzone z Francyi.

Pani Roland, przypatrzwszy się bliżej ludziom, chwytła doskonale ich rysy znamienne, zdawała sobie dokładnie sprawę z ich wad i niedostatków, o czem świadczy jej pamiętniki, ale tylko wtedy, kiedy odtwarzała osobistości z innych obozów. Wybornie, pomiędzy innymi odmalowała bankiera Neckera, któremu rewolucya weisnęła do rąk nieudolnych portfel ministra. „Necker, który był zawsze w polityce i w stylu swoim patetycznym, człowiek mierny, cieszący się dobrą opinią dlatego, bo miał o sobie sam bardzo dobre mniemanie i wy-

powiadał je głośno, Necker, finansista, umiejący tylko obliczać zawartość swojej szkatuły, mówiący bezustannie o swoim charakterze, jak kobiety publiczne o swojej czystości, nie był dobrym sternikiem wśród zawieruchy, jaka się przygotowywała“ *).

Gdy pani Roland rzucała na papier ten doskonały szkic pyszałkowego, zarozumiałego bankiera, który odgrywał rolę genialnego męża stanu, nie przyszło jej na myśl, że jej trafne uwagi odnosiły się równie dobrze do niej samej i do jej przyjaciół, jak się odnosiły do kupca, nieprzygotowanego do trudnego urzędu sternika wielkiego państwa, chwiejącego się, miotanego na burzliwych falach rewolucyi. Wszakże i ona i jej przyjaciele mówili ciągle o swoich geniuszach politycznych, o enotach republikańskich, o charakterach rzymskich, o swojej niezwykłej wiedzy, a okazali się w praktyce nieudolnymi frazeologami, którzy, zamiast wyprowadzić skołataną nawę królestwa z wirów, wtręcili ją w przepaść anarchii.

Któż jednak, dostrzegający zawsze w oku bliźniego żdźbło najdrobniejsze, zechciał zwrócić uwagę na ogromną belkę we własnym oku? Takich pokornych i rozumnych jest między ludźmi bardzo niewiele.

*) Pani Roland: „Mémoires“, j. w. str. 101.

Pani Roland chwyciła bystrym wzrokiem obserwarki każdą śmieszność, każdą wadę przeciwnika, ale swojej „belki“ nie widziała. Tą „belką“ była potworna pycha samoczeki i parweniuszki, która przerodziła się w końcu w megalomanię. Już ocierała się tuż o szafot, już zbliżała się do niej śmierć okrutna, a ona miała jeszcze „tupet“ przechwalać się swojemi nadzwyczajnemi enotami. „Nie widzę dla siebie na tym świecie innej roli oprócz roli Opatrzności“ pisała w więzieniu (*Mémoires*, j. w., t. II, str. 104).

Przewróciło się w głowie żarliwej republikance, bojownicze rewolucyi.

Mogło się jej przewrócić.

Ludwik XVI, opuszczony przez szlachtę, która wyemigrowała z kraju, widząc, że żywioty radykalne biorą górę, godząc się z sytuacją chwili, postanowił wezwać do swojej rady przyboecznej przedstawicieli nowych prądów. Wybór był trudny, wśród tłumu bowiem polityków od wczoraj, improwizowanych mężów stanu, którzy się pchali do przodu, nie odznaczał się nikt ani wyrobieniem, ani niezwyklejmi zdolnościami, chociaż się każdemu z nich zdawało, że on jeden posiada tajemnicę zbawienia Francyi i ludzkości. Przyznaje sama pani Roland, że Francya była w r. 1792 pozbawiona mężów wybitnych. „Ubóstwo

ludzi podczas rewolucyi jest rzeczą zdumiewającą; byli tylko pigmee. Nie zbywało wprawdzie na zdolnościach, na uczonych, na filozofach, ale szukanoby daremnie tej siły duszy (*force d'âme*), wzmocnionej przez trafność sądu, oceniającego każdą rzecz właściwie — tej rozciągłości wzroku (*étendue des vues*), wnikającej w przyszłość.“

Rewolucye zużywają szybko ludzi i usuwają na bok utalentowanych. Mirabeau już nie żył, Maury, Moanier, Malouet, Lamethowie, Barnave, Necker, albo poszli między rupiecie, jako zachowawcy, „wsteczniacy“, albo ochłonawszy po bliższem zetknięciu z nierozumną namiętnością tłumów, stracili popularność. Danton gospodarował w klubach i na ulicy, o Napoleonie jeszcze nikt nie wiedział.

Nie było w istocie kandydatów do portfelów ministeryalnych. Ktoś wskazał królowi Rolanda. Ten niższy urzędnik skarbowości, sumienny szperacz naukowy, umysł mały, ciasny, nie posiadał wprawdzie warunków na rządę państwa, ale był przynajmniej człowiekiem uczciwym, nieskazitelnym, lepiej wychowanym. Na bezrybiu bywa rak rybą: Roland został ministrem, a pani Rolandowa ministrową.

Pani Danton nie przewróciło się w głowie na takich wyżynach, ale cicha, dobra,

nabożna żona trybuna ludu nie miała ambicji politycznych, nie była dumną, pyszną.

Inaczej pani Roland. Jej dasza ambitna rozśmiała się radośnie do stanowiska, władzy, znaczenia: teraz będę rządziła!

Roland miał już lat sześćdziesiąt i przywykł do pantofelka żony. Nie on, aczkolwiek jeszcze krzepki, zawiadywał ministerstwem spraw wewnętrznych, lecz właściwie pani ministrowa. Wracając z posiedzeń rady koronnej, zdawał pan mąż pani żonie sprawę z wszystkiego, o czem mówiono, co postanowiono w Taileryach; potem zasiadali oboje do jednego stołu i pracowali razem. „Roland byłby bezemnie równie dobrym administratorem; dawał on pracowitość, wiedzę i uczciwość; ze mną jednak do spółki wytworzył więcej sensacji, wkładałam bowiem w jego pisma tę mieszaninę siły i słodyczy, powagi rozumu i wdzięku uczucia, które włożyć może tylko wrażliwa kobieta, obdarzona zdrową głową“ (*Mémoires*, j. w., t. II, str. 103).

Pani Roland była przekonana, że służy Francji dobrze, miesząc się do spraw urzędowych męża. Myliła się biedna. Jej bezbrzeżna ambicja, zarozumiałość i namiętność zepsuły uczciwe zamiary króla.

Ludwik XVI, osaczony zewsząd przez żywiły radykalne, pogodził się po krótkim wahaniu ze swoim smutnym losem.

Powoławszy do rządów ministrów „patryotów“, czyli radykalistów, robił wszystko, aby ich sobie zjednać. Był dla nich uprzejmy uprzejmością doskonale wychowanego pana XVIII stulecia—więcej nawet, obchodził się z nimi po przyjacielsku, dopuszczał ich do swojej poufałości. Z natury dobry, łagodny, obdarzony zdrowym rozsądkiem, zachowywał się na posiedzeniach jak kolega swoich ministrów, i nie opierał się nigdy ich pożytecznym projektom.

Roland też i Clavières, zachwyceni królem, jego dobrocią i uprzejmością, byłiby niewątpliwie jemu i monarchii konstytucyjnej wiernie służyli, gdyby nie fatalny wpływ pani Roland.

„Roland i Clavières, zachwyceni rozporządzeniami króla, marzyli przez całe trzy tygodnie o najlepszym porządku rzeczy i byli przekonani, że się rewolucja skończyła. Dobry Boże, mówiłam do nich za każdym razem, kiedy was widzę idących na posiedzenia rządu, zdaje mi się zawsze, iż jesteście gotowi popełnić jakieś głupstwo. „Zapewniam panią, odpowiadał na to Clavières, że król czuje doskonale, iż leży w jego interesie szanować ustanawiając się prawa; mówi o tem zbyt często, by nie był o tej prawdzie przekonany“. A ja na to: „nie mogę uwierzyć w miłość do konstytucji u człowieka, wy-

karmionego przesądami despotyzmu" (*Mémoires*, j. w., t. II, str. 97).

Tak usilnie, z takim uporem kobiecym zaszczeniała jad nieufności i podejrzliwości w sercach męża i Clavières'a, iż wmówiła w nich w końcu „zdradziecką obłudę“ króla i sprowadziła gwałtowne zerwanie ministrów z monarchą. Ona to napisała ów niegrzeczny, arogancki list, w którym Roland strofował Ludwika XVI w tonie rozgniewanego Mentora, uczącego go obowiązków monarszych, jak bakalarz uczy krnąbrnego żaka szkolnego obowiązków chłopca. Córecie miedziorytnika zdawało się prawdopodobnie, że, nawymyślawszy praprapraprawnakowi Ludwika św., dowiodła nadzwyczajnej odwagi „nieustraszonej Rzymianki“, że dokonała wielkiego dzieła. Nie domyślała się biedna, iż znieważając powagę władzy monarszej, przyspieszyła swój własny upadek, podpisała wyrok śmierci na siebie, na męża i swoich przyjaciół. Jeszcze zuchwalsi od niej, jeszcze radykalniejsi nie uwierzyli w jej uczciwość obywatelską, w czystość jej zamiarów tak samo, jak ona nie wierzyła w miłość króla do konstytucji. I ucieli jej pyszną głowę.

Bardzo krótko trwały rządy „enotliwych Rzymian, potomków Brutusów i Scjwolów“. Śmierć króla i ogłoszenie rzezypospolitej rozpętały wszystkie ambicie

Pani Roland powinna była znać „szlachetność, rycerskość, wielkoduszność“ tej hałastry z Komany, która wyszedłszy z błota i rynsztoka, rozsiadła się pysznie na krzesłach karalnych, powinna była wiedzieć, z jaką rozkoszą pastwią się ci jednodniowi władcy nad zwyciężonymi panami, bo patrzyła uważnemi, mądrymi oczami na ich robotę, ale człowiek odczuwa zwykle dopiero cady ból, gdy cierpi sam. Jej, szczerzej rewolucyonistce, republikance z przekonania, zastężonej dla rewolucji, zdawało się, że rewolucya będzie chłostała tylko „zgniłych arystokratów, obłudnych zdrajców, podstępnych wrogów ludu“. Tych nie żałowała... Niechby ich zemsta narodu dobrze osmagała!... Zapomniała, nierozważna, że w rewolucyach przesawa się pojęcie „arystokraty“ bardzo szybko z góry na dół. Teraz była i ona, kobieta wykształcona, czytana, lepiej wychowana, ubierająca się dobrze, ze smakiem, w porównaniu z kanalią, która gospodarowała w rataszu, arystokratką, „rojalistką, zdrajczynią, wrogiem narodu i t. d.“ i jako taka nie zasługiwała na żadne względy. Pierwszy lepszy brudny, nieumyty, cuchnący, obdarty drapichrust, „prawdziwy patriota“, wchodził do jej więzienia i wmawiał w nią, że jest winną zbrodni „obrażonego majestatu narodu“, że spiskowała z rojalista-

mi — ona, która pomogła gorliwie zbarzyć tron Burbonów; pierwszy lepszy najęty skrybent, zbir gazeciarski, nikiemny paskwilista pluł na nią, obrzucał ją błotem oszczerstwa — ją, której samienie niewieście było czyste, jak czystymi są skrzydła białego łabędzia.

Napiła się pani Roland w więzieniu gorzkiej trucizny upokorzenia, bezsilności, poniewierki; odbywała za kratami ostatnie studia — kurs psychologii wyzwolonych wczoraj niewolników, spanoszonych „chamów” i łotrów. Rezultaty tych smutnych studyów rozrzuciła tu i owdzie w swoich pamiętnikach.

Warto posłuchać, czego się ta ambitna, energiczna kobieta nauczyła ostatecznie od bogatego w wypadki życia, jakie jej przypało w udziale.

„Dziś na tronie, jutro w kajdanach. Jest to los cnoty w rewolucjach. Po pierwszych ruchach ludu, zmęczonego trapiącymi go nadszyciami, mędracy, którzy wyjaśnili mu jego prawa, lub pomogli mu je zdobyć napowrót, bywają powołani na stanowiska naczelne; nie zostają oni jednak na nich długo, ambitnicy bowiem, karyerowicze, chcący wyzyskać dobrą sposobność, stać się potężnymi i poważanymi, umieją obalamować wkrótce pochlebstwem lud,

usposobić go nieżyczliwie dla jego prawdziwych obrońców.”

Jakżeż to trudno w rewolucyi nie być namiętnym; jest nawet niepodobieństwem wywołać rewolucję bez namiętności; są za wielkie przeszkody do usunięcia; nie można tego uskatecznić bez ruchliwości, bez poświęcenia, równającego się egzaltacyi; chwytła się cheiwie wszystko, co służy, tracąc zdolność przewidywania tego, co może być szkodliwe.”

„Kilku ludzi gorących, przenikniętych niebezpieczeństwem publicznem, szukających z dobrą wiarą dróg i środków do odwrócenia nieszczęścia, gromadzą się, łączą w związek patryotyczny; z tymi bratają się filozofowie, albowiem taki związek wydaje się im potrzebny do obalenia tyranii i krzewienia zasad pożytecznych. Oni, owi gorący działacze i filozofowie, pobudzają serca i umysły. Teraz wysuwają się naprzód indywidua, które strojąc się w zasady uznane, przyjęte i przyswajając sobie ich język, ubiegają się o popularność w celu zdobycia posad i kredytu. Udadają rozmiłowanych w prawdzie, aby zwrócić na siebie uwagę; przemawiają do wyobraźni za pośrednictwem jaskrawych malowideł; schlebiają namiętnościom tłumów, zawsze skłonnych do podziwiania przesady; rzucają te tłumy w takie sytuacje, w których mogą im być

pożyteczni, aby je przekonać, że są potrzebni i kończą robotę swoją na tem, że podają w podejrzenie wszystkich ludzi rozumnych i oświeconych, których zasługa ich przeraża, z którymi nie wytrzymałoby konkurencyi. Oszezerstwo staje się w ich ręką sztuką głęboką. Prawdziwi patrioci pozwolili iść naprzód tej krzykliwej sforcie i posługiwali się nią przeciw nieprzyjacielowi. W swej nienawiści do despotyzmu nie rozważyli, iż jeśli wolno w polityce wykonywać rzeczy dobre przez złych ludzi, albo też korzystać z ich wybryków w sprawie użytecznej, jest bardzo niebezpiecznie zostawić im zaszczyt dzieł dobrych i nie karać ich za podłości.“

„Ludzie, którzy chcą prowadzić narody i którzy znają środki do wpływania na tłumy, wiedzą bardzo dobrze, że jednym z najpotężniejszych środków rządzenia jest terror.“

„Cierpliwa bezcelność cieszy się zawsze powodzeniem w obliczu ludu, z natury podejrzliwego i lekkomyślnego.“

„Patriotyzm szumowin społecznych, wyrzuconych przez rewolucję na wierzch, polega na schlebieniu ludowi, aby w ten sposób nad nim panować — na obalaniu i niszczeniu wszystkiego, by się w ogólnym zamęcie wysunąć naprzód i zbogacić — na deptaniu prawa i mordowaniu, by za-

pewnie sobie bezkarność i władzę — na klęciu, picciu, ubieraniu się w łachmany, by się zbratać, zrównać z motłochem.“

„Łaska ludu jest tak samo lekkomyślna, jak łaska fortuny. Przypatrzcie się losowi wszystkich tych, którzy podniecali lud, którzy mu się podobali albo mu przewodzili, od Visselinasa począwszy aż do Cezara, od Hippona, trybuna syrakuzkańskiego, aż do mówców paryzkich.“

„Pochlebcy ludu powiększali rozmyślenie jego obawy, podniecali jego podejrzliwość; wieczni denuncyanci, byli nieprzyjaciółmi wszystkich ludzi, zajmujących jakieś wybitniejsze stanowiska, chcieli bowiem zająć ich miejsca. Taka była metoda wszystkich agitatorów, od Hippona aż do Robespierre’a.“

„Rewolucya asanęła kolejno wszystkich, którzy wyróżniali się czemkolwiek z pomiędzy szarego tłumu, nasamprzód szlachtę, potem bogate mieszczaństwo, w końcu inteligencję. Nie dziwnego, że dostaliśmy się ostatecznie w ręce grubej ignorancji i haniebnej nieudolności.“

„Ludzie publiczni od wczoraj, nasi prawodawcy, nie posiadali owych rozległych stosunków, które uczą znajomości ludzi.“

Z powyższych uwag i aforyzmów, rozrzuconych w pamiętnikach, które pani Roland pisała w więzieniu, widać, że mądra

kobieta nie traciła w życiu czasu, że miała oczy i uszy bezustannie otwarte, że umiała dobrze patrzeć, uważnie słuchać i zdawać sobie jasno sprawę z tego, co widziała i słyszała. Szkoda, że ten niezwykle uzdolniony umysł, że ta głowa po mężku logiczna nie przeżyła w młodości dobrej szkoły. Inną, kojącą, godzącą rolę byłaby odegrała „Królowa Żyrondy“, gdyby była zasiadła do wspólnej roboty z mężem-ministrem więcej wytrawiona, znająca ludzi tak, jak ich znała w więzieniu.

Odważnie broniła się ta lwica przeciw sforze wsieklej psów, zawsze przytomna, nie pozwalająca się osaczyć, zapędzić w matnię. Daremnie usiłowali ją komisarze trybunału rewolucyjnego stropić, wydobyć z niej jakieś słówko, któreby ją skompromitowało w obliczu „patryotów“. Nie dała się pochwycić w pułapkę chytrych podstępów.

Mimo to skazano ją na śmierć. Głowa jej spadła pod nożem gilotyny dnia 8 Listopada 1793 r. Rewolucya, którą tak kochała, od której spodziewała się raju na ziemi dla siebie i całej ludzkości, zamordowała ją w 39 roku życia (ur. się w r. 1754).

Stanąwszy na placu kaźni, ozdobionym posągami Wolności, rzekła: „O, wolności, ileż zbrodni popełniono w twojem imieniu!“

Jej mąż, stary Roland, dowiedziawszy się o śmierci żony, przebił się szpadą.

VII.

Kobiety z ludu — Prostytutki — „Damy z hal“ — Rybaczki.

Czarny ptak głodu spadł na Paryż, na Francję. Olbrzymiemi skrzydłami objął cały kraj, ostre pazury zatopił we wnętrzościach roboczego ludu.

Kilka lat z rzędu idące po sobie nieurodzaje i niezwykle mrozy zniszczyły chleb ubogich. Niema go w Paryżu, niema go na prowincyi. Daremnie otwierają: król, szlachta, duchowieństwo, zamożniejsze mieszczaństwo szeroko hojne ręce. Sypią się krocie, miliony na chleb dla ubogich. Chleba za mało, by nakarmić drobne rzesze.

Król kazał wypłacić 40 milionów franków ze skarbu państwa i przetopić w mennicy na monetę swoje srebra stołowe; biskupi, opaci, przeorowie, szlachta, bankie-

rzy, bogatsi kupcy sprowadzają zboże z kraju i z zagranicy. Nie to nie pomaga. Paryż cierpi głód. Trzy franki dwanaście sous kosztuje bochenek, ważący trzy funty, a na ten bochenek trzeba czekać po kilka godzin, bo piekarze nie mają dosyć mąki. Lud stacza przed ich sklepami krwawe bitwy. Mocniejszy wydziera słabszemu drogą zdobycz.

I jaki to chleb! Czarny, kwaśny, upieczony niewiadomo z czego. Ubodzy chorują od niego. Dysenterya i szkorbat zaludniają wszystkie szpitale paryżkie.

W tę straszną nędzę wpadają, jak padają iskry na materiał wybuchowy, manifesty, odezwy, mowy, kłamstwa, drukowane świstki agitatorów rewolucyjnych: „Król, szlachta, duchowieństwo, nikezemni arystokraci, winni, że lud przymiera głodem. Oni niszczą rozmyślnie zboże, zamykają je w piwnicach, zakopują w ziemi, topią w rzekach, palą, wywożą zagranicę, mszcząc się na ludzie za to, że domaga się swoich słasnych praw, że szemrze przeciw uprzywilejowanym zdrajcom.“ Ciemny, łatwowierny, głodem podniecony lud wierzy tym kłamstwom, tym bredniom i łączy się z rewolucją, czego właśnie chcą, pragną trybanowie kawiarni i klubów.

Głód i oszezerstwa agitatorów wypędziły lud na ulicę, na drogi, wcisnęły do je-

go twardych, spracowanych rąk piki, drągi, stare rusznice, nauczyły go grabić, niszczyć własność posiadających, mordować, pastwić się nad zabitymi arystokratami.“

Wyszły na ulice przedewszystkiem kobiety, wrażliwsze, zapaleczone, skłonniejsze do uniesień od mężów, braci i kochanków. Bo głód smaga je okrutniej, niż płęć moeną, bo one cierpią nietylko za siebie, lecz także za swoich głodnych mężów, a głównie za swoje głodne dzieci. Zamordują arystokratę, wydrą mu z piersi „podłę serce“, wypiją jego krew, by nakarmić dziecko. Samica broni swoich piskląt zawsze odważniej, zawzięciej od samea.

Kobieta z ludu wyszła na ulicę odraża uzbrojona, przewyższająca mężczyznę namiętnością, zaciekłością, furią rewolucyjną. Brała ona czynny udział we wszystkich zamachach na króla, na Zgromadzenie Narodowe, Prawodawcze, na Konwencyę, wnosząc do zawieruchy politycznej swoją wrażliwość, zmienność i brutalność.

Te dziewczyny, mężatki i matki z ludu oświeconego wieku XVIII miały takie wyobrażenie o wysokiej kulturze swojego czasu, jakie mają dzisiejsze marzynki o cywilizacji europejskiej. Znakomici znawcy obyczajów francuzkich XVIII stulecia, Edmund i Juliasz de Goncourt, nie szczędzą barw czarnych, szkicując ich portret. „Poniżej

drobnego mieszczaństwa, na samym dole społeczeństwa, rysuje się postać kobiety z ludu, która robi wrażenie, jak gdyby należała do innej rasy. W twardych rzemiostach Paryża, w handlu pod gołym niebem, w zajęciach, które zmaszają płęć słabą do pracy męskiej, widzimy istotę, należącą do nadobnej połowy rodzaju ludzkiego tylko płcią; jest ona więcej ludem, motłochem, niż kobietą. W środowisku pełnej cywilizacji, w samem ognisku oświecenia i inteligencji, mózg tej kreatury nie zawiera więcej idei od mózgu Hotentotki, cały zagrożony w materjalizmie i brutalności. Od czasu tylko do czasu rozgrzewa się jej serce na chwilę; wzruszają je: tklivość, li-tość, oburzenie. Ale są to wzruszenia przejściowe“ *).

By mieć dokładny obraz kobiety francuskiej z ludu XVIII stulecia, trzeba do jej ciemnoty i brutalności dodać jeszcze pijaństwo, które dziesiątkowało w owym czasie niziny społeczne królestwa Barbonów.

Nie trudno sobie wystawić, jaki wygląd przybrała rewolucya, kiedy ciemna, pijana, głodem własnym i dzieci swoich podniecona samica stanęła w jej pierwszych szeregach.

*) Edmond et Jules de Goncourt: „La femme du XVIII siècle,“ wydanie z r. 1903, str. 277—281.

Z ciemną, brutalną, pijaną samicą zbra-tała się jej siostra, krew z jej krwi, kość z jej kości— prostytutka.

Prostytutki francuskie XVIII stulecia, wielkie i małe, abogie i zamożne, brudne i wytworne, zwykłe aliczne, t. zw. ambalantes i eleganckie metresy, należały po-chodzeniem do ludu. Wyszły z niego owe słynne kokoty paryzkie, owe Laguerre'y, Quoniam'y, Hervieux'y, Contat'y, owe lwice półświatka, które zabawiały najbogatszych paniczów Francyi. Jedyna Zofia Arnoald była dzieckiem drobnego mieszczaństwa.

Dom, rodzina, wychowanie, otocze-nie, ciężkie warunki pracy niewieściej XVIII stulecia pechały dziewczynę z ludu na drogę grzechu. W domu, w rodzinie swojej widziała pijanego ojca, pijaną matkę, bijących się, klnących. Nikt nie uczył jej uczci-wości, poczucia godności niewieściej, hono-ru, obowiązków. Do szkoły nie chodziła; chowała się sama.

Wyszędłszy z lat dziecięcych, odwie-dzała z ojcem, z matką, z krewnymi w każ-dą niedzielę, w każde święto szynki, ogródki podmiejskie, piła wódkę, tańczyła do upadłego. Jeżeli była ładna, znalazła rych-ło amanta. Jakiś lokaj, jakiś podoficer, „lowelasowie kanalii,“ nauczył jej miłości, podniecił jej zmysły, rozbudził w niej sła-bość niewieścią do błyskotek, do strojów.

A upodobań tych nie mogła zadowolić pracę.

Bo robotnica francuzka XVIII wieku zarabiała od 10 do 12 sous dziennie. Zarobek ten nie starczył nawet na ubogie życie, które kosztowało około 20 sous. Zkąd wziąć pieniądze na lepszą sukienkę, na ładną wstążkę, na zgrabny trzewiczek?

Pchana brakiem wychowania domowego, przykładem otoczenia, nędzą, pożądliwością młodości, wyszła dziewczyna z domu na ulicę, szukając na niej obfitszego chleba i błyskotliwszych gałganków.

Rządy królewskie obchodziły się bardzo surowo z dziewczętami upadłymi. Od czasu do czasu urządzała policja nocną obławę. Ujęte alieznice zamykano na czas pewien w szpitalach: Salpêtrière, Saint-Martin i Sainte-Pélagie, gdzie golono im głowy i nie szczędzono poniewierki. Wypuszczone, ujęte po raz wtóry, recydywistki sieczono różgami.

Jedynym środkiem uniknięcia tej bolesnej i upokarzającej kary był tytuł artystki. U progów teatrów i oper kończyła się władza policji. Której dziewczynie udało się zapisać choćby do statystek teatrów, baletu, do chórów opery, stawała się wolną. Każda też z kokot mniejszych i większych ubiegała się o ten zaszczyt, zasłaniając ją przed surowością prawa. Ale nie dla wszyst-

kich otwierały się podwoje przybytków sztuki, choćby dlatego, że Paryż posiadał w drugiej połowie XVIII wieku tak znaczną ilość kobiet złego życia, iż trzeba by było zbudować setki teatrów, by je wszystkie pomieścić. Liczono samych t. zw. *ambalantes*, przeszło 60,000.

Cała ta wielka armia kobiet upadłych, odsądzona przez rządy królewskie, przez *ancien régime*, od czei i wiary, rzuciła się gromadnie, z entuzjazmem niewieściom w objęcia rewolucji, spodziewając się od niej wyzwolenia. Kobiety z domu i alieznice atakowały z początku najzjadlej monarchię.

Spaszczeni z łańcucha religii i prawa gniew głodnego, przez szereg wieków deptanego domu, wstąpił w motłoch niewieści i dał mu wymowę burzy, odwagę bohaterów i drapieżność dzikich zwierząt. Nie rozumem, lecz zawsze tylko namiętnością powodowane rewolucjonistki przewyższały rewolucjonistów gwałtownością i okrucieństwem. One to głównie hałasowały w trybunach sejmu, wylewając na posłów umiarkowanych całe kubły ordynarnych obelg i krwiożerczych gróźb, one były najaważniejszymi słachaczkami trybunów, perorujących w kawiarniach i na ulicy, one sprowadziły rodzinę królewską z Wersalu do Paryża, lżyły królowę, podżęgały mężów

swoich braci, i kochanków do mordu, do grabieży, one konwojowały dobrowolnie, wyjąc, przeklinając, tańcząc, wozy, wiozące na plac skazańców, ich to oczy nienasycone piły z rozkoszą obraz głów spadających, tułowiów ociekających krwią, ich to ręce klaskały podczas egzekucyi najgłośniej, grabiły podczas rabunków najtańszych. Kobieta z ludu zmieniała się podczas rewolucyi w furię, w hyenę, apiła się, odurzyła dymiącą krwią. Cała dzikość natury pierwotnej, nieuszlachetnionej przez kulturę, odezwała się w niej najwyraźniej. „Mężczyzna zabijał; kobieta masakrowała“ *). A masakrowała z taką przyjemnością, że zasłażyła sobie na uznanie Marata, który zamierzał utworzyć „legion amazoнок“, uzbrojonych w sztylety, przeznaczoną do mordowania szlachty i księży.

Największą furią rewolucyjną odznaczały się „damy z hal“ (les dames de la Halle), czyli przekupki, które przodowały motłochowi niewieściemu. A wśród tych „dam z hal“ jaśniały gorliwością wywrotową słynne w Paryżu, najkrzykliwsze, najładniejsze rybaczki (les poissardes). Były one „straszliwymi westalkami, pijanymi bachantkami nowego boga Liber.“

*) Edmond et Jules de Goncourt: „L'histoire de la société française pendant la révolution,“ j. w., str. 382.

Wszystkie owe „królowe węgierskie“, owe Auda, Agnieszki Lefèvre, Genowefy Dogan, Denizy Lefèvre, Petit, Marye Ludwiki Bouja, które obnosiły na ulicach Paryża na pikach głowy zamordowanych arystokratów, należały do cechu rybaczek.

Kiedy republikanie sądzili Ludwika XVI-tego, rybaczki pod komendą grubej, tęgiej „matki“ Duchêne piły w trybunach Konwencji gorzałkę, wino, trącając się szklankami, ilekroć któryś z posłów wyrzekł: śmierć! Zakładały się: atną królowi głowę, nie atną? Markowały głosy sędziów szpilek na kartach, niecierpliwiąc się, gniewając, gdy któryś z odważniejszych deputowanych nie chciał posłać potomka twórców wielkiej Francyi na szafot.

Rozumie się, że rewolucya przyjęła rybaczki, „amazonki swoje“, otwartemi ramionami. Ozdobiła je „medalem patriotycznym“, pieściła je, wyróżniała, obsypywała zaszczytami. Na wszystkich uroczystościach narodowych zajmowały les poissardes miejsca honorowe; podczas składania przysięgi obywatelskiej siedziały w pierwszych łóżach teatru, z których zeszyły na scenę, aby odtańczyć wśród piekielnej wrzawy taniec narodowy.

Jakie wojsko, tacy generałowie.

Na czele Théroigne de Méricourt.

VIII.

Théroigne de Méricourt.

Przyszła na świat z niespokojną duszą awanturnicy, której było za ciasno w ciasnych ramach szarego życia. W czasach spokojnych byłaby poszła zwykłą drogą barzliwych dziewczyn z ludu, byłaby błyszczała przez chwilę jaskrawą gwiazdą na brudnem niebie półświatka i zgasła; w rewolucyi, która wyrzuciła w górę wszystkie natury gwałtowne, wyrosła na lwicę tłumów.

Urodziła się w chałupie chłopskiej (w r. 1762), w wiosce Marcour (nie Méricourt), w pobliżu miasteczka Laroche. Nazywała się właściwie Anna Józefa Tewragne (nie Théroigne), była córką prawowitą Piotra Tewragne i Elżbiety Lahaye *).

Wyszła z domu bardzo młoda na służ-

*) Wykazali to E. i J. Goncourt w swoich szkicach „Portraits intimes du XVIII siècle,” wydanie z r. 1903, str. 365.

bę do wioski Condroz. Dziewczyna ładna, żywa, namiętna, podobała się jakiemuś podróżnikowi angielskiemu, który ją uwiódł i zabrał z sobą do Londynu. Opowiada Piotr Villiers, że bawiła się nad Tamizą doskonale, nazwawszy się hrabiną de Campinados, że kochała się tam w śpiewaku Tenducci i t. d. *).

Wróciwszy do Francyi, do Paryża, zajęła odrazu wybitne stanowisko w półświatku stolicy. O względy ładnej, wesołej kobiety ubiegali się ludzie bogaci, przemysłowcy, bankierzy, zasypując ją złotem, brylantami. Służąca z Condrez, przezwawszy się Théroigne de Méricourt, mieszkała w wykwintnym apartamencie, miała liczną służbę, jeździła powozem. Zakochał się w niej w końcu margrabia Doublet de Persan, który zapisał jej aktem notaryalnym pięć tysięcy franków rocznej renty.

Zdobywszy sobie wesołym życiem stałą dochód, zapragnęła Théroigne sławy, znaczenia. Jak wszystkie gwiazdy z półświatka paryzkiego, marzyła o oklaskach i wieńcach teatralnych. Postanowiła się wykształcić na śpiewaczkę, wstąpić do opery. W tym celu wyjechała do Włoch, do ojczyzny śpiewu, muzyki.

Ale już odezwał się pierwszy, głuchy

*) Piotr Villiers: „Souvenirs d'un déporte.”

pomruk rodzącej się w łonie narodu francuskiego rewolucyi. Stany Jeneralne, zwołane przez króla, zbierały się w Wersalu...

Niespokojna, awanturnicza, gwałtowna dusza Théroigne'y zwietrzyła odpowiednią arenę dla swoich ambicji i zdolności.

Była kokota londyńska i paryzka rzuca muzykę, śpiew, marzenia o sławie na deskach teatralnych. Łatwiej, prędzej, bez mozolnych studyów, bez nadnej pracy, można w rewolucyi dojść do rozgłosu. Wystarczy być odważnym, zuchwałym, krzykliwym.

Już w Czerwcu 1789 roku zjawiła się znów Théroigne na bruku paryzkim.

Teraz rozpoczyna się jedna z tych niezwykle biografii, jakie tylko rewolucye stwarzają.

Dziewczyna z ludu, bez żadnej kultury, bez elementarnych wiadomości szkolnych, umiejąca zaledwie czytać i pisać, nie znająca ortografii, co poświadcza jej zachowane dotąd listy, staje się trybunem ludu, krzewicielką doktryn filozoficznych i socyologicznych. Kokota, zbrukana błotem lupanarów, jeździ po miasteczkach, po wsiach swoich stron rodzinnych, zwołuje wiece, uczy lud „enoty, filozofii, obowiązków obywatelskich“, piorunuje na „czarnych“ (szlachta i duchowieństwo), na „podłych zdrajców“, którzy bronią się „ośmieszaniem enoty patriotów.“

Cnota, uczciwość, sprawiedliwość, sąd opinii publicznej i tym podobne wielkie słowa, nadużywane przez wszystkich rewolucjonistów francuskich, od pani Roland począwszy, a skończywszy na Robespierre, nie schodzą z jej ust. Rzuca ona niemi dokoła siebie tak hojnie, jak gdyby była conajmniej Joanną d'Arc.

Ta sama dziewczyna z ludu i kokota otwiera w Paryżu salon polityczny, zwany przez rojalistów uszczypliwie „portykiem Zgromadzenia Narodowego.“ Bo tacy mówcy, posłowie, publicyści i agitatorowie, jak Mirabeau, Brissot, Desmoulins, Chénier, Cloutz, Romme, Barnave, Pétion, Saint-Just, Robespierre i in. bawią się doskonale, dysputują na jej obiadach i kolacyach, zjadając jej rentę, zarobioną na nierządzie.

Théroigne posiadała wrodzony talent oratorski, żywość i przytomność umysłu. Mówiła francuszczyzną złą, gminną, ale mówiła płynnie, odpierała z ręcznie ataki i drwiny przeciwników i dowcipniśców.

Pewnego razu przybyła do klubu Jakobinów. Dowcipny Desmoulins, Voltaire ulicy, ujrawszy ją, zawołał: „Oto królowa Saba, która przychodzi z wizytą do Salomona.“ A ona, nie tracąc przytomności, odciała się: „Jeśli jesteście naprawdę Salomonami, to zbadajcie świątynię wolności,

pałac dla Zgromadzenia Narodowego, a zbudujcie go na tem miejscu, na którem stała Bastylia *).

Wszędzie, gdzie rewolucya perorowała, piorunowała przeciw „czarnym,” na ulicy, w kawiarniach, w klubie Jakobinów, Kordelierów, gdzie przeszkadzała robocie rojalistów albo umiarkowanych demokratów, w trybunach sejmu, widziano Théroigne na czele krzyżących, hałasujących „dam z hał” i kokot.

Ale nietylko słowem i wrzawą wojowała. Była ona rzeczywistym generałem armii rewolucyjnej w spódnicy. Ona to jechała konno, w czerwonej, jedwabnej amazonee, z pistoletami za pasem, z ogromną szablą przy boku na czele głodnych kobiet do Wersalu, do króla; ona brała czynny udział w drugim ataku na Tuilerye, który zburzył tron Barbonów, ona zachęcała do mordów, zabijała sama. „Z kartyzany wyklął się nagle bohater i furja. Rewolucya przelała w nią swoje nienawiści; opętały ją jej zemsty. Tłum poniósł ją, proch odurzył, krew upoiła. Podobna do owych bachantek, pełnych bożka i pozbawionych sumienia, Théroigne, pijana, wściekła, wyzywając śmierć, pędzi za teoryami przedmieść.

*) Michelet: „Les femmes de la révolution“ j. w. str. 121.

Tarza się w zawierusze; jest instynktem i apetytem dzikich“ *).

Rewolucyoniści awienicyli „zasłużoną, znakomitą patryotkę,” a publicyści rojalistyczni i karykaturzyści zabawiali Paryż karykaturami i drwinami z „pośredniczki obywatelskiej,” „małżonki posła Populasa,” „Muzy demokracji,” „Wenery, dającej lekcyę prawa publicznego.” Rivarol, Peltier, Champeenets, Saleau, Marchand pobudzali tem do śmiechu nawet zagorzałych republikanów.

Przedewszystkiem Saleau.

Ten młody, przystojny, odważny mieszczanin szczytujący się tem, że ma poza sobą szesnaście pokoleń mieszczkańskich, był najzdolniejszym i najśmielszym szampionem gasnących Barbonów. Dowcipny, cięty, urodzony polemista, smagał ostrem piórem Mirabeau’a, Barnave’a, Lafayette’a, Robespierre’a, drwił w „Aetes des Apôtres” nie-miłosiernie z „małżonki posła Populasa.” Z brawurą i bezinteresownością rycerską bronił „sprawy przegranej,” walczył przeciw czasom, „w których arlekinowie stali się ludożercami, a lud mianował latarnie prawami.”

Nazajutrz po drugim zamachu na Tuil-

*) Edmond et Jules de Goncourt: „Portraits intimes; j. w. str. 372.

lerye, szedł Suleau ulicą, przebrany za gwardzistę narodowego. Na jego drodze znalazła się Théroigne i poznała go. Natychmiast rzuciła się z furią oszalałej wiedźmy na szampiona rojalizmu. Tłum jej pomógł. Suleau, wyrwawszy z rąk jakiegoś oberwańca szablę, bronił się, ciął na prawo i lewo. Ale tłum rósł, zgniótł go ciężarem swoim, powalił i zamordował.

Théroigne tryumfowała; zemściła się.

Leccz tryumfowała krótko. „Znakomitą, zasłużoną obywatelkę“ zaczęła smagać nędza. Bardzo hojna dla ubogich krewnych, co było dodatnią stroną jej charakteru, bardzo rozrzutna, zjadła nasamprzód wszystkie swoje kosztowności, a potem sprzedaną rentę. Rewolucya dała jej wieniec, ale nie dała jej pieniędzy, które inni, zręczniejsi, chcieli od niej zagarnęli.

A potem...

Rewolucya zrywa z głów swoich ulubieńców wieńce z taką samą lekkomyślnością i łatwością, z jaką je rozdaje.

Théroigne zaprzyjaźniła się z Żyrodystami, którzy wypadli z łaski „patryotów“ i poróżniła się z Robespierrem, który rósł właśnie w tych łaskach zawodnych, kapryśnych. Dość to, aby ją potępić, zaliczyć pomiędzy „podejrzanych.“

Zamknęły się przed nią kluby jakobińskie, arena jej tryumfów oratorskich,

zatykano sobie uszy, kiedy chciała przemawiać.

„Wielka Théroigne,“ nieubłagana Herodyada rewolucyi, generał armii w spódniczce przestała być ulubienicą niewdzięcznej ulicy.

Nie dość na tem.

Ulica postanowiła ją ośmieszyć, znievažyc, uczynić niemożliwą, odrzec ją z purpurowego płaszcza krwawo zarobionej sławy. W Maja 1793 r. napadła ją gromada kobiet z ludu, jej żołnierze, jej gwardya, zdarła z niej suknie i oćwiczyła ją nagą w jasny dzień różgami, ku hałaśliwej uciesze motłocha, przypatrującego się tej szczególnego rodzaju operacyi.

Motłoch klaskał, zanosił się od śmiechu, ryczał, rozbawiony niezwykle widowiskiem, a Théroigne, „dumna amazonka rewolucyi,“ wyła z bólu, wstydu, rozpacz.

Straszliwa zniewaga wpadła piorunem w jej mózg, stargała jej nerwy, pomieszała zmysły.

Kiedy ją oprawczyni wypuściły z rąk, Théroigne wyła jeszcze, ale z obłąd. Straciła rozum.

Siedmnaście lat męczyła się w różnych domach zdrowia (umarła w Czerwcu 1815 r.). Przenoszono ją z Hôtel-Dieu do Salpêtrière, z Salpêtrière do

Petites-Maisons, gdzie leczono ją na koszt rządowy.

Nie wyleczono faryatki, bo Théroigne wpadła w furię. Krzyczała całymi dniami: fortune, liberté, comité, révolution, décret, coquin! piła wodę z rynsztoków, pożerała własne nieczystości—stała się brudną, obrzydliwym zwierzęciem.

IX.

Jakobinki.—Róża Lacombe.—Emancypantki.—Olympia de Gouges.

Francya pokryła się w drugiej połowie 1789 r. klubami politycznymi. Nie było miasta, miasteczka, nie było osady, wioski, gdzieby się kilka „patriotów“ nie zbierało, aby radzić o losach ojczyzny.

Zapagnęły i kobiety swoich własnych klubów.

Miały do tego prawo. Wszakże walczyły obok mężczyzny o wolność i równość, przewyższały go nawet gorliwością patriotyczną i bezwzględnością rewolucyjną.

W podziemiach kościoła św. Jakóba w Paryżu, który był siedziskiem słynnego w dziejach rewolucyi klubu Jakobinów, w krypcie zbierali się robotnicy w celu „nauczenia się wolności.“ Profesorem poli-

tecznymi, instruktorami tych przyszłych terrorystów byli agitatorowie z inteligencji, głównie dziennikarze i adwokaci. Nauka ta polegała na podburzaniu ubogich przeciw posiadającym, na podniecaniu niskich instynktów nienawiści rządzonych do rządzących.

Z mężami przychodziły żony, z żonami ich siostry, przyjaciółki. W ten sposób powstał pierwszy klub mieszany, męsko-żeński: *Société fraternelle des patriotes, des deux sexes, défenseurs de la Constitution*. W klubie tym, który liczył przeszło 3,000 członków płci słabej, bywała od czasu do czasu pani Roland.

Gwałtowniejszem od klubu „przyjaciółek konstytucji“ było „Stowarzyszenie rewolucjonistek“ (*Société des femmes républicaines et révolutionnaires*), obradujące, agitujące bez udziału płci męskiej. Wszystko, co Francja niewieścia posiadała burzliwego, hałaśliwego, rozpasanego, przekupki, „damy z hal,“ kokoty, alicznice, żydówki, szamowiny przedmieść, złało się w tym klubie w kipiątek ciągle wrzący. „Stowarzyszenie republikanek i rewolucjonistek“ dostarczyło rewolucji owych krzykaczek, które, rozsiadłszy się w trybunach sejmu, psuły spokojną, rozważną robotę prawodawczą owych „amazonek,“ które brały czynny udział w zawieruchach

ulicznych i zamachach stanu, owych faryi, co konwojowały wózki, jadące na plac kaźni (*l'échasses de guillotine*). „Damy“ te nosiły w uszach zamiast koleczyków złote gilotynki.

Nigdy nie byli teroryści tak cheiwi krwi, jak terrorystki. Rewolucja szła im za wolno, mordowała za mało. Gdy wywrotowcy mężczyźni zwlekali z jakimś gwałtem, ociągali się, namyślali, one, „hyeny rewolucji,“ postanawiały na swoich zebraniach: „jeśli dekret nie będzie sankcjonowany w przeciągu tygodnia, cztery legiony kobiet odważnych wyruszą przeciw rządowi.“ Kiedy mer Bailly i naczelnik gwardji narodowej, Laffayette, usiłowali powstrzymać szalony rozpęd Jakobeinów, one groziły: „jeśli którykolwiek z uzbrojonych szpiegów i zbójów generała (gwardya narodowa) ośmieli się wytknąć nos na ulicę, zgąsimy jego oddech nożem, a ich bohater (Laffayette) będzie wisiał na latarni obok filistra z ratasza (Bailly).“

Noż, sztylet, najwygodniejsze do roboty skrytobójczej, były ulubioną bronią tych „dam,“ które przysięgały „nie poślubić nigdy arystokraty.“

Prezeską tego klubu oszalałej hałastry niewieściej była Róża Lacombe, „stara alicznica“ (*vieille barboteuse*), niesły-

chanie gwałtowna, bardzo ruchliwa trybunka ludu.

Tak dobrze pracowały zrzeszone rewolucjonistki dla rewolucyi, iż zasłażyły sobie na szczególne uznanie Marata, „apostola egzekucyi popularnych.“ Ten chory megaloman marzył o wojsku niewieściem, uzbrojonem w sztylety. Jego przyjaciel, a którego jadał obiady, puszkarz Gémard, przygotował już w tym celu 1,000 sztyletów. Marzenie jednak Marata nie stało się ciąłem, protektor bowiem noża zginął sam od noża (Szarlotty Corday).

Działalność polityczna kobiety francuskiej podczas rewolucyi była właściwie jej pierwszym debiutem emancypacyjnym.

Nowina ta przyszła z Ameryki.

Przyniosła ją młoda szlachta francuska, która, nie mając w domu nie do roboty, popłynęła za ocean walczyć w szereгах yankesów, szukać wrażeń rycerskich pod wodzą Laffayette'a.

Tam, za wielkim morzem, wykwiła z ruchu powstańczego śmiała w owych czasach idea równouprawnienia kobiety. Ujęły ją w silne ręce Mercy Otis Warren, przyjaciółka Jeffersona i Abigail Adams Smith, żona pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, która pisała w r. 1776 do swojego męża: „jeśli przyszła konstytucja nie uwzględni naszych zasadniczych potrzeb,

to gotowe jesteśmy do buntu, gdyż nie uważamy się za zobowiązane do szanowania praw, które nie zapewniają nam głosu w naszych sprawach i przedstawicielstwa naszych interesów“ *).

Przykład Amerykanek oddziaływał na kobietę francuską. Domagała się ona nasamprzód, w ostatnich latach przed rewolucją tylko prawa dostępu do wyższej nauki, żądała dla siebie wyższych szkół. Żądanie to zaspokoiło w części założone w r. 1786 liceum dla kobiet i mężczyzn, w którym wykładali Montesquieu, Laharpe i Condorcet.

Wybuch rewolucyi, która posługiwała się wrażliwością niewieścią do swoich celów, podsunął kobiecie myśl pełnej emancypacji.

Właściwie nie kobiecie, zanim bowiem ona sama zaczęła kołatać gwałtownie do bram Zgromadzenia Narodowego, domagając się równouprawnienia z mężczyzną, utworowali jej już drogę dwaj margrabiowie: de Condorcet i de Villette i ksiądz Fauchet. Condorcet ogłosił w r. 1789 w „Journal de la société“ rozprawę, w której rzucił szkice emancypacji niewieściej, Villette żądał w Zgromadzeniu Narodowym dla kobiet

*) Lily Braun: „Historia rozwoju ruchu kobiecego“ w przekładzie polskim J. Okszy, 1904 r., str. 75.

praw obywatelskich, Fauchet podniecał płeć słabą płomiennymi mowami do śmiałego czynu.

Hasła swoich obrońców męzkich podjęły kobiety.

Feministką, mówiąc po dzisiejszemu, była także poniekąd Théroigne de Méricourt, co poświadcza jej mowa wygłoszona dnia 25 Marca 1792 roku w Société fraternelle des Minimes.

Oto ona:

„Obywatelki! Nie zapominajmy, że należymy całe do ojczyzny... Uzbrójmy się! Prawo to daje nam natura, a nawet prawo. Pokażmy mężczyznom, iż nie jesteśmy od nich niższe ani enotami, ani odwagą; pokażmy Europie, że znamy swoje prawa i że stoimy na wysokości oświaty XVIII stulecia, gardząc przesądami, które dlatego, że są przesądami, są absurdami, często niemoralnymi... Francuzki! W chwili, kiedy postęp oświaty zaprasza was do rozmyślenia, porównajcie, czem jesteśmy, z tem, czem być powinniśmy w porządku społecznym. By poznać nasze prawa, musimy wziąć za przewodnika rozum i prowadzone przez niego, odróżnimy słasne od niesłasznego...”

„Uzbrójmy się, bo jest rozumnie abyśmy się przygotowały do obrony naszych praw, naszych ognisk... Francuzki! Powta-

rzam raz jeszcze, podnieśmy się do wysokości naszych przeznaczeń, skruszmy nasze kajdany. Przyszedł nareszcie czas, żeby się kobiety wydostały z hańbiącej niechęci, w której je nieuctwo, pycha i niesprawiedliwość męzka trzymają od tak dawna. Przenieśmy się w owe czasy, w których nasze matki, Gallijki i dumne Germanki, rozprawiały w Zgromadzeniach publicznych, walczyły obok swoich mężów, odpierając nieprzyjaciół wolności. Francuzki! Ta sama krew krąży zawsze w naszych żyłach. Cośmy zdziałały w Beaavais, w Wersalu, dnia 5-go i 6-go Października i w wielu innych ważnych i decydujących okolicznościach, dowodzi, że uczucia wielkoduszne nie są nam obce. Wracajmy do naszej energii, jeśli bowiem chcemy zachować naszą wolność, powinniśmy się przygotować do dzieł wzniosłych. Obywatelki! Dlaczego nie współzawodniczymy z mężczyznami? Czyż oni tylko sami posiadają prawo do sławy? Nie, nie! I my także chcemy zasłużyć na wieniec obywatelski i ubiegać się o zaszczyt śmierci za wolność, która jest nam może droższą, aniżeli im, bo skutki despotyzmu gniotły nasze głowy więcej, niż ich głowy. Tak, wspaniałomyślne obywatelki, wy wszystkie, które mnie rozumiecie, uzbrójmy się, idźmy dwa albo trzy razy w tygodniu na Pola Elizejskie albo na Pole

Federacyi uczyć się robić bronią! Otwórzmy listę Amazonek francuzkich! Niech się zapiszą wszystkie, które kochają prawdziwie ojczyznę! *).

To rzekłszy, ofiarowała Théroigne obywatelkom przedmieścia św. Antoniego **) sztandar trójkolorowy.

Théroigne była feministką, ale po swojemu. Ten generał wojska republikańskiego w spódnicy nie mógł się obyć bez groźnego ruszania wąsami, których nie miał, i bez hałaśliwego pobrzękiwania szablą, bez której nie wychodził na ulicę.

Właściwą emancypantką, feministką rewolucyjną była Olympia de Gouges.

Nazywała się Marya Gouze. Urodziła się w Montauban (1755 r.) w sklepiaku drobnego kupca, którego ubogie środki nie mogły przygotować utalentowanego dziecka do roli, jaką miało odegrać na burzliwej scenie rewolucyjnej. Plotka zrobiła ją owocem nielegalnej miłości jej matki to z poetą Le Franc de Pompignan, to z królem Ludwikiem XV. Ale plotka czepia się zawsze osobistości niezwykłych, podsawając im niezwykłe pochodzenie i niezwykłe przygody.

Przyszła na świat z głową utalento-

*) Opuściłem zdania, które nie wiążą się logicznie z całością.

**) Nasza dzisiejsza warszawska „Krwawa Wola.“

waną, z sercem gorącym, namiętne, z temperamentem ruchliwym. Życzliwy los wyposażył ją na drogę życia niepospolitą urodą.

Związała się bardzo młodo ślubami dożgonnemi z człowiekiem brutalnym. Starawszy pęta małżeńskie, udała się do Paryża, do Mekki wszystkich kobiet wykołojonych, i rzuciła w szumiące wiry nierządu zwyczajem ówczesnym. Jak Théroigne de Méricourt, jak inne „metresy“ paryżskie, zapragnęła laurów teatralnych. Była aktorką i autorką, występowała sama w swoich sztukach. Umiejąc zaledwie czytać i pisać, dyktowała codziennie tragedję, niby drugi Lope de Vega *). Jej dzieła literackie nie miały żadnej wartości, jej gra aktorska nie zdobyła jej oklasków i wieńców. Dopiero rewolucja wskazała i wytknęła drogę, odpowiadającą jej zdolnościom.

Ta prosta kobieta bez kultury była urodzoną agitatorką i organizatorką, posiadała głowę płodną i śmiałe pomysły.

„Czyż nie jest już i na nas pora, abyśmy podniosły rewolucję? — woła z trybuny do kobiet. — Będą-ż kobiety zawsze odosobnione? Nie weźmiemyż nigdy czynnego udziału w kształtowaniu społeczeństwa?“

Rewolucja ogłosiła „Prawa człowie-

*) I. Michelet: „Les femmes de la révolution“ j. w. str. 112.

ka.“ Olympia de Gouges dodała od siebie „Prawa kobiety.“

„Kobieta urodziła się wolną i pod względem prawnym równą mężczyźnie. Celem każdego Zgromadzenia prawodawczego jest wyjaśnienie i pielęgnowanie przyrodzonych praw płci obojga: prawa wolności, postępu, bezpieczeństwa i prawa oporu przeciw uciskowi. Dotąd jednak prawa naturalne kobiety były ograniczone w wykonaniu. Z mężczyzn i kobiet, złączonych wspólnymi węzłami, składa się naród, na którym opiera się państwo; prawodawstwo więc winno być wyrazem woli całej społeczności. Wszystkie obywatelki powinny brać w niem udział na równi z obywatelami, czy to osobiście, czy przez wybranych przez siebie posłów. Dla wszystkich prawa jednakowe. Stosownie do swoich zdolności powinny być obywatelki dopuszczone narówni z obywatelami do urzędów i stanowisk publicznych do wszystkich zawodów i odznaczeń; tylko różnica azdolnienia i przymiotów osobistych ma decydować o wyborze. Jeżeli kobiecie przysługuje prawo wstępowania na szafot, to powinna także posiadać prawo wstępowania na trybunę.“

„Obudźcie się kobiety! Pochodnia prawdy rozproszyła chmury głupoty i ucisku. Łączcie się! Przewadźcie siły fizycznej i gwałtu należy przeciwstawić siłę dach-

wą, rozsądek i sprawiedliwość. I zobaczycie wkrótce, że mężczyzna, który pada do stóp waszych, jako wielbiciel, a lekceważy w gruncie waszą godność, pójdzie z wami ręką w rękę, dumny, iż może dzielić z równą towarzyszką odwieczne prawa ludzkości“ *).

Czytając powyższą odezwę Olympii de Gouges, doznaje się wrażania, jak gdyby się słyszało głos współczesnej feministki. Te same zarzuty, te same żądania. Nie ona sama, nie posiadająca żadnego przygotowania naukowego, fabrykowała te manifesty. Pomagali jej przyjaciele, Mercier i inni.

Olympia de Gouges rozwinęła bardzo ruchliwą działalność. Zawiazywała związki polityczne, niepokoiła Zgromadzenie Narodowe petycjami: „Dopiero co znieśliście inne przywileje; pozostały jeszcze do zniesienia przywileje mężczyzny.“

Powstało pismo, poświęcone sprawie kobiecej „l'Observateur féminin“, posyłały się broszury, broszurki.

Jak amazonki Théroigne'y, tak tolerowała rewolucja zrazu i feministki Olympii. Zapał, wrażliwość, namiętność kobiety były jej potrzebne do obalenia monarchii.

*) Lily Braun: „Historia rozwoju ruchu kobiecego“, j. w., str. 112.

Ale przyszła chwila, kiedy rewolucya, zamieniwszy się w terroryzm, stała się despotką, nie znoszącą krytyki. Kobiety były natarczywe, natrętne, domagały się odważnie swoich praw, nudziły Konwencyę „mocnymi” i petycjami, pchały się przebojem do przodu.

Sprzyskrzyło się to rewolucyi. Więc kiedy się Jakobinki, amazonki i feministki zaczęły mieszać do brudnych sprawek „Komitetu ocalenia publicznego,” który nie lubił kontroli, kiedy zaczęły wyrzucać Robespierre’owi jego gwałty, skończyły się rządy niewieście. Konwencya rozwiązała dnia 30 Października wszystkie związki kobiece, wypędziła kobiety z tryban sejmu, zakazała im udziału w zgromadzeniach publicznych.

Kiedy deputacya związków kobiecych stanęła pod komendą Róży Lacombe przed obliczem władców Komuny Paryzkiej z protestem, nie dopuścili jej demagogowie nawet do głosu. „Natura sama rzekła kobiecie: bądź żoną! — przemówił do deputacyi prokurator generalny Chaumette. — Wychowanie dzieci, zajęcie domowe, słodkie trudy macierzyństwa, to dziedzina twojej pracy. Dlatego też wynoszą cię ponad wszystkie istoty, jako boginię ogniska domowego. Będiesz twoim wdziękiem, twoją urodą, twoją cnotą panowała nad wszyst-

kiem, co cię otacza. Niebaczne niewiasty, które chcecie się stać mężczyznami! Czegoż więcej możecie żądać? Opanowałyście nasze zmysły; prawodawcy leżą u waszych stóp. Wasz despotyzm jest jedynym, którego zrzucić nie mamy siły, gdyż jest despotyzmem miłości. W imię natury waszej zostańcie tem, czem jesteście, i zamiast zazdrościć nam walk i trudów życia publicznego, poprzestańcie na tem, iż przy was o nich zapomnieć możemy.”

Garścią frazesów podziękowała rewolucya kobiecie za jej zapal rewolucyjny, za jej pomoc namiętną, płomienną, za jej gorliwą służbę w trybanach sejmu, w klubach i na ulicy.

Ruch feministyczny skończył się dnia 30 Października 1793 roku. A jego naczelniczki?

Théroigne de Méricourt miotała się już od kilku miesięcy w kaftanie faryatów w domu obłąkanych, Olympia de Gouges siedziała pod kluczem, czekając w więzieniu na nóż gilotyny.

Olympia padła ofiarą zmiennej wrażliwości kobiety. Jak pani Roland i Théroigne, była ona już wówczas republikanką, domagała się już wówczas detronizacyi Ludwika XVI, kiedy jeszcze żaden z późniejszych terrorystów nie myślał o obaleniu monarchii. Ta gorliwa republikanka w Lip-

cu 1789 r. stała się rojalistką w Październiku tego samego roku, po napadzie motłochu kobiecego na Wersal. Rojalistka w Październiku, zapłonęła znów Olympia po nieudanej ucieczce króla płomieniem republikańskim, który zgasł po raz wtóry, kiedy się Konweneya złączała nad zwyciężonym, powalonym władcą. Do tego stopnia zmieniły się jej sympatye i przekonania, że chciała oskarżonego króla bronić przed kratkami sądu. „Jeśli katowską ręką zetniecie drzewo monarchii — mówiła — lękajcie się, abyście nie zostali sami pod niem pogrzebani.“

Serce niewieście zawiodło Olympię na szafot. Serce niewieście nie mogło i nie chciało, mimo gwałtowności swojej, patrzeć obojętnie na krwiożerość demagogów. Ona to rzuciła w twarz Robespierre'owi groźbę proroczą: „i twoim tronem będzie szafot.“

Za tę tkliwość niewieścią, która się litowała nad deptanem, poniewieranem nie-szczęściem, oddała Olympia głowę. Oskarżona o spiski rojalistyczne (zwykły straszak demagogów) zginęła na gilotynie dnia 3 Listopada 1793 r.

A Róża Lacombe?

I tej hałaśliwej Jakobince, terorystce, wypłatało serce niewieście figla. Prezeska klubu rewolucjonistek, które przysięgały

„nie zasłabiać arystokraty,“ zakochała się właśnie w arystokracie, w synu mera Taluzy. Oskarżona o „sprzyjanie podejrzanym zdrajcom“ nie oddała wprawdzie głowy na szafocie, ale miała sposobność za kratą więzienną do gorzkich medytacyi nad „nie-wdzięcznością rewolucyi.“

Wypuszczona z więzienia, wróciła Róża Lacombe do swojego właściwego fachu — stała się znów przekupką. Już w czerwcu 1794 roku widziano ją przed bramami więzień, sprzedając aresztowanym „podejrzanym“ wino, cukier, chleb, na czem robiła doskonałe interesy *).

Pani Roland i Olympia de Gouges na gilotynie, Théroigne de Méricourt w domu obłąkanych, Róża Lacombe handlarką uliczną!...

Rewolucye labią potworne tragedye, krwawe satyry...

*) I. Michelet: „Les femmes de la révolution,“ j. w. str. 116.

X.

Wielbicielki Robespierre'a.

Maksymilian de Robespierre, ostatni wyraz terroryzmu rewolucyjnego, wielona gilotyna, miał swoje wielbicielki, miał ich nawet bardzo dużo.

Nie był ani przystojnym, ani miłym w towarzystwie; nie ubiegał się o względy niewieście. Drobny, szczupły, żółty ową zgniłą żółtością chorej wątroby, poruszający się ze sztywnością automatu, robiący wrażenie suchego, nudnego pedanta, bakałarza, nie posiadał warunków na zjadacza serce.

Więc może olśniewał, porywał wymową, talentem oratorskim, jak Mirabeau, Maury, Cazalès, albo przerażał potężnym głosem „ryczącego barbarzyńcy,” jak Danton lub Marat?

Głos potężny nie tryskał szumiącym potokiem z jego szczupłej piersi, daru oratorskiego odmówił mu los. Czytał zwykle swoje sztuczne, mozolnie sklecone elukubracje, posługując się na trybunie dwiema parami okularów: jedne służyły mu do czytania, drugie mocniejsze, do rozglądania się po sali, po galeryach.

Czemże więc ten człowiek „brał” kobiety?

Prawdopodobnie nasamprzód tem, że nie ubiegał się o ich względy, że je lekceważył.

Podstępny, pusty amor nie potrafił opleść „nieprzedajnego dyktatora” swoją przedzą złocistą. Historia nie wie nic o kochance, lub choćby tylko o miłośkach młodości Robespierre'a. Żadna kobieta nie może się poszczycić miłością tego strasznego człowieka, który, pochłonięty cały przez politykę i swoje ambicje, nie miał czasu do poezyi życia, odkładał ją na później. Nie kochał się on w żadnej białogłowie, chociaż mu niejedna z nich podsuwała serce namiętne: bierz je, należy ono do ciebie!

Ciekawość niewieścią drażni dziwak, nieczuły na wdzięki płci pięknej. Szturmem usiłują kobiety wziąć opornego.

Powtóre... Sława Robespierre'a rosła z każdym dniem, więcej dzięki jego wytrwałości i zręczności, aniżeli zdolnościom,

sława zaś jest zawsze doskonałym pomocnikiem Amora—ośniewa, pociąga wyobraźnię niewieścią.

Po trzecie... Robespierre był kopią, „smatnym bękartem Rousseau’a,” jak go Michelet nazywa; przesiąkł jego „Emilem” i „umową społeczną,” jak gąbka, myślał tylko jego myślami. A Rousseau umiał sobie zdobyć serce niewieście, potracając silnie o struny tkliwych uczuć, pominiętych, lekceważonych przez filozofię encyklopedystów, którzy wtłoczyli całe życie ludzkie w zimne, suche ramy rozumu.

Za przykładem swojego mistrza mówił Robespierre dużo, ciągle o „wdziękach enoty, o słodkich lekceach miłości macierzyńskiej, o świętym stosunku obu płci, o prawach serca.” Ten drapieżny kot odgrywał rolę sentymentalnego idealisty, szeregowego moralisty, a odgrywał swoją rolę dobrze, ze zręcznością sprytnego karyerowicza, który buduje piedestał dla siebie, wolno, ostrożnie, ważąc każde słowo, wygłoszone na trybunie, obliczając każdy krok. Umiał się on otoczyć aparatem ubóstwa, umiał zachować w rewolucyi czyste ręce. Inni, więksi od niego, jak Danton, lekceważyli ciekawą, zazdrosną opinię publiczną, brali pieniądze skąd się dało i używali życia, dorwawszy się do władzy. On nie sprzeniewierzył się nigdy swoim przekonaniom

demokratycznym, był skromnym w swoich potrzebach, nie brał łapówek.

Stasznie nazywano go: nieprzedajnym, l'incorruptible.

Dnia 17 Lipca 1791 r., w owym pamiętnym dniu rewolucyi, w którym gwardya narodowa Laffayette’a rozpedziła siłą tłum demonstrujących radykalistów, Robespierre, obawiając się o swoją skórę, ukrywał się u stolarza Duplay, w małym domku przy ulicy Saint-Honoré. Pani Duplay, gorąca „patryotka,” rozmiłowała się do tego stopnia w gorącym patryocie, w żarliwym demokracie, że ofiarowała mu u siebie mieszkanie.

Było to „nieprzedajnemu” na rękę z dwóch powodów. Raz, że pozbywał się w ten sposób męczącego towarzystwa siostry, panny Szarlotty de Robespierre, arystokratki, nie dzielącej przekonañ brata, powtóre, że kwatera u stolarza, dziecka ludu, potwierdzała jego szczerotę demokratyczną. Wszakże mieszkał Marat w piwnicy, a Pache u portyera... Godziwa, by się i Robespierre, równie żarliwy ludowiec, jak oni, otoczył dekoracją ubóstwa. Jedyne Danton, lew w porównaniu z tymi chyttrymi drapieżnikami, lekcewżył takie sztuczne, komedyanckie środki i środeczki.

Pani Duplay umieściła Robespierre’a na facyacie swojego domku, w czystym,

schładnym pokoiku, który obwiesiła od góry do dołu portretami lokatora, malowanymi, rysowanymi kredką, ciętymi w drzewie, rzeźbionymi w glinie, gipsie, marmurze. Była to jedyna ozdoba jaskini terrorysty. Sosnowy stół do pisania, sosnowe półki na książki, łóżko i kilka krzeseł stanowiły całe umeblowanie.

Tak skromnie mieszkał człowiek, którego wola zabiła króla, królową, książąt, biskupów, ministrów, generałów, który trząsł przez cały rok wielką Francją.

Tak skromne otoczenie przekonało oczywiście „naród“ o nieskazitelności, uczciwości i szczerości demagoga. Oto sprawiedliwy, nieprzedajny, cnotliwy, le juste, l'incorruptible, le vertueux — mówiono. Mężczyźni szli za głosem „Cynecynata“, kobiety uwielbiały go, kochały.

Robespierre umiał oprócz tego oddziaływać na serca niewieście. Odgrywał on bardzo zręcznie rolę niewinnej, nieszczęśliwej ofiary, prześladowanej przez zawistnych za szczerłość demokratyczną, za miłość do ludu. „Nienawidzą mnie, obrzucają oszczerstwami, grożą mi gilotyną za moją uczciwość republikańską — skarżył się często na mównicę, a czułe słuchaczki płakały wówczas, roztkliwione. Kiedy się zabierał do wymordowania Żyrondystów, lamentował w klubie Jakobinów: obwiniają

mnie o okrucieństwo, a ja pragnę tylko usunąć intrygantów, szkodliwych dla wolności; gdy dokonam tego dzieła, rzucę trybunę, wycofam się z męczącego gwaru życia publicznego, albowiem pragnę resztę dni, jakie mi jeszcze zostają, przepędzić w zacisznem ustroniu, w objęciach świętej, słodkiej miłości...” A tklive słuchaczki wołały: pójdziemy za tobą, pójdziemy za tobą! nie domyślając się, że ten sentymentalny liryk mordował tylko dlatego, aby na trupach zdolniejszych od siebie rywalów zbudować dla siebie tron dyktatorski.

A pani Duplay nie było mu zresztą tak niewygodnie, jak się wielbicielkom „cnotliwego“ zdawało. Papa Duplay, zamożny przedsiębiorca robót stolarskich, karmił go bardzo dobrze, mama Duplay, rozkochana w „nieprzedajnym“, otaczała go troskliwą opieką, zmiatała proch z pod jego stóp; panny Duplay, córki, zabawiały go wesołym świergotem, młody Duplay, syn, był jego sekretarzem, przepisując jego mowy, a wszyscy wpatrywali się w niego, jak w bożyszcze, jak w nadzwyczajne, nadziemskie dzиво, i służyli mu z pokorą, z oddaniem wiernych wyznawców.

Opromieniony aureolą „cnotliwego, sprawiedliwego, nieprzedajnego męczennika“, rósł ten straszliwy fanatyk wywrotu, ten nieubłagany, bezlitosny morderca w oczach

i w sercach swoich wielbicielek do rozmia-
rów wysłańca Bożego. Jakobinki nosiły
jego portret na piersiach, modliły się do
niego; któraś wskazała go wyraźnie jako
„Zbawiciela, który nadechodzi;“ inna mówi-
ła do niego wprost: „O Robespierre, ty je-
steś Bogiem!“

Nie dziwnego, że się „nieprzedajne-
mu“ od tych wszystkich pochlebstw w gło-
wie przewróciło. I on uwierzył w końcu
w swoją boską misję.

Żyła wówczas w Paryżu jakaś stara
kobieta, Katarzyna Théot, która zabawiała
się we wróżbiarstwo. Nazywano ją uszczy-
pliwie Matką Bożą (*Mère de Dieu*). Trud-
no zrozumieć, jakie powody skłoniły czło-
wieka tak chłodnego, rozważnego, przebie-
głego, obliczającego każdy krok, jak Ro-
bespierre, do zawarcia bliższej znajomości
z niemądrą mistyczką. Dość, że jest fak-
tem, iż pozostawał on w bardzo dobrych
stosunkach z „Matką Bożą,“ bywał u niej
razem ze swoim przyjacielem, kartazem
Dom Gerle. Owa „Matka Boża“ miano-
wała go podobno „synem Najwyższej Istoty,
Zbawicielem, Messyaszem,“ jak dowodził
szpieg Sénart, wydelegowany przez wro-
gów Robespierre’a do zbadania tajemniczej
sprawy.

Jeśli Sénard mówił prawdę, to zma-
ciła megalomania ostatecznie rozum Ro-

bespierre’a, odjęła mu ostrożność i roz-
wagę w chwili, gdy doszedł do szczytu po-
wodzenia. Być może także, że „nieprze-
dajny“ należał do sekty iluminatów (*illu-
minés*), założonej przez portugalskiego
żyda, Martineza Pasqualisa, posiadającej
w drugiej połowie XVIII-go stulecia we
Francji wielkie mnóstwo zwolenników*),
wiadomo bowiem, że usunął z papierów
Komitetu bezpieczeństwa publicznego akta,
odnoszące się do tej sekty i nie chciał ich
zwrócić**).

Drobny ten epizod przyczynił się dużo
do upadku „enotliwego dyktatora.“ Jego
nieprzyjaciele, czyhający na sposobność
podstawienia mu nogi, wyzyskali denuncya-
cye Sénarda w celach agitacyjnych—ośmie-
szyli „enotliwego Messyasa, Zbawiciela,
Syna Bożego.“

„Messyas“ rewolucyi skończył na sza-
focie, jak wszyscy jego poprzednicy, a ser-
ce niewieście, tak mu oddane, odwróciło
się od niego.

Taką nienawiścią zapalało to serce
do swojego wczorajszego kochanka, iż kla-
skało przez dziesięć minut, kiedy głowa Ro-
bespierre’a spadła pod nożem gilotyny.

*) Henri Hello: „L'action maçonnique au XVIII
siècle,“ wydanie z roku 1905, str. 8—9.

**) I. Michelet: „Les femmes i t. d.“ j. w. str. 317.

Tłum kobiet wpadł do więzienia Saint-Pélagie, gdzie wrogowie Robespierre'a umieścili jego gospodynię, jego opiekankę, panią Duplay; udusiły one starą kobietę, a udusiwszy, powiesiły na zasawie okna.

XI.

Boginie Rozumu.

Rewolucya, burząc całą przeszłość Francyi, nie szanowała także religii.

Ośmieszyli ją, nazwali apiozem przeszłości już pierwsi teoretycy rewolucyi, encyklopedyści i filozofowie natary, którzy postawili na miejscu wiary rozum i naturę. Walka z religią wogóle rozpoczęła się bezwzględną krytyką chrześcijaństwa i katolicyzmu. Wrogów Chrystusa prowadził Voltaire, urodzony duch przeczenia, nieprzejednany, namiętny aż do śmierci.

Ale Voltaire i jego pomocnicy byli jeszcze deistami; zwalczając chrześcijaństwo, uznawali Boga. Encyklopedyści (d'Alembert, Diderot, Lamark), sceptycy, prawie panteiści posunęli się w robocie destruktywnej o cały krok naprzód; krańcowi z po-

między nich (d'Holbach, La Mettrie, Helvetius, Condorcet, Lalande, Volney) przyznawali się już wprost do ateizmu i materializmu.

Doktryny uczonych i filozofów wsiąkały powoli w szerokie masy inteligencji francuskiej XVIII stulecia. W pierwszych chwilach nie wojowała jeszcze rewolucja z Bogiem, ufała w jego pomoc. Bóg Francji, królów, szlachty i duchowieństwa, zmienił się w Boga „patriotów,” w protektora wywrotowców. „Powiedzcież, czy ojciec śmiertelników może być arystokratą?—wołali rewolucyoniści *). Nie jest-że tęcza, która zdobi jego głowę majestatyczną, ładną kokardą patriotyczną, posiadającą te same barwy, co barwy narodu?” Strojono ołtarze, monstraneye, krzyże we wstęgi trójkolorowe.

Ale wypadki szły szybko po sobie, a z nimi rwała się także nie, łącząca terazniejszość z przeszłością. Kiedy się duchowieństwo po bezwzględny atak radykalnych reformatorów na jego prawa i na prawa Kościoła zaczęło odwracać od rewolucji, kiedy stało się umiarkowanym, czyli w pojęciach wywrotowców arystokratyzmem, wypadł i Bóg z łaski demagogów. Razem z królem, z monarchią runął Bóg

*) „Lettres b.. patriotiques” № 33.

dawnej Francji. Rzeczpospolita odczepiła się od chrześcijaństwa, od katolicyzmu, od religii wogóle. Prawie wszyscy Żyromyśli byli ateuszami.

Doktryny teoretyków, uczonych i filozofów, stają się teraz ciałem. Rzeczpospolita detronizuje Boga, znosi chrześcijaństwo, prześladowa duchowieństwo, sadza Naturę i Rozum, bożyszcza encyklopedystów, na „krzesło obywatelskie.”

Dnia 10 Sierpnia 1793 r. obchodziła rewolucja pierwsze święto „religii natury.” Na gruzach zburzonej Bastyli stanął olbrzymi posąg natury, wyobrażający kobietę, przyciskającą rękami pełne piersi, z których tryskały dwa strumienie wody. Wszyscy członkowie Konwentu, ubrani w szarfy trójkolorowe, niosąc bukiety kwiatów i owoców, przyszli się pokłonić nowej bogini Francji. „Nataro, przyjmij wyrazy wieczystego przywiązania Francuzów za twoje prawa” — modlił się prezydent Ciała Prawodawczego. To rzekłszy, wziął pełny puchar, uczynił libację, i podał go najbliższemu delegatowi z prowincji. Puchar szedł z rąk do rąk, wychylano go, modlono się do „Natury.”

Miała więc już Natura swój kult, ale nie obóstwiono jeszcze Rozumu. Pomyśleli o nim Hébert, Cloutz i Chaumette.

W kilka miesięcy po pierwszym świę-

cie Natury, dnia 10 Listopada 1793 r. bawił się Paryż nowem widowiskiem. Oto ustanowili ateusze nową „religię,” religię Rozumu, która była zaprzeczeniem wszelkiej religii wogóle. Zwolennicy tej „religii” przysięgali: „Przysięgam nie wyznawać żadnej religii oprócz religii Natury, nie uznawać żadnej świątyni oprócz świątyni Rozumu, żadnych ołtarzów, oprócz ołtarzów ojczyzny, żadnych kapłanów oprócz prawodawców, żadnego kulta, oprócz kulta wolności, równości i braterstwa.“

Naturaliści zadowolnili się posągiem Natury; wyznawcy Rozumu zapragnęli bogiń żywych.

W prezbiterium katedry paryzkiej (Notre Dame) urządzono „świątynię filozofii,” przyozdobiwszy ją portretami mędrców i „ojców rewolucyi.” Pochodnia Prawdy płonęła na zaimprovizowanej skale.

Wszyscy wyznawcy nowego kulta, który był ostatnim wyrazem destruktywnej roboty rewolucyi, posłowie, urzędnicy, żołnierze, szeregi dziewcząt w bieli z wieńcami z liści dębowych na głowach, wypełniali ową świątynię po brzegi.

Na krześle, umajonem zielenią, zasiadła bogini Rozumu w białej, powłóczystej szacie, w płaszczu błękitnym, w czerwonej frygijskiej czapce na głowie, z piką w ręką. W Notre Dame przedstawiała

boginię piękna Maillard, była tancerka, dama wesoła, otoczona śpiewaczkami opery; w innych kościołach paryzkich odgrywały tę rolę pani Momoro, żona księgarza i aktorka Candeille — na prowincyi żony i siostry najwybitniejszych rewolucjonistów.

Dziewczęta śpiewały, na czem skończyła się ceremonja, opowiada Michelet *). Ale bracia de Goncourt, lepsi znawcy „szopek” rewolucyjnych od Micheleta, mówią, opierając się na świadectwie dokumentu współczesnego (Le nouveau Paris): „W katedrze huczały organy, dobosze bębnilili, fanfary rozbrzmiewały, krzyki, ohydne piosenki, przekleństwa zapalały się i gasły w potwornych tonach potwornej karmaniole, saboty uderzały o groby biskupów. Oto sabat w jasny dzień! Wódka wypełnia cyborya... A gdy wszystko wypito, gdy zabrakło już wina i wódki, wylewa się z katedry na place i ulice motłoch, obnoszący święto waryatów końca świata, blaźnierstwo jego maskarad z szynka do szynka” **).

Przekupnie z hal wzięli tancerkę Maillard na ramiona i zanieśli ją w tryumfie do Konwencji, gdzie, „boginię Rozumu” prezydent posadził obok siebie i uczył po-

*) I. Michelet: „Les femmes i t. d.” j. w. str. 275.

**) Ed. et Jul. de Goncourt: „L’histoire d. l. s. fr. p. la Révolution,” j. w. str. 419.

całunkiem w imieniu narodu francuzkiego. A Konweneya zadekretowała: „lud francuzki i jego władze zasłużyli się dobrze ojczyźnie, dając taki wielki przykład świata.“

W kilka dni potem wniósł słynny rozpastnik, zwyrodniały erotoman, margrabia de Sade, do Konweneyi następującą petycję: „Człowiek oświeca się i dasząc ręką czeze zabawki religii fałszywej, wznosi drugi ołtarz dla najdroższego bóstwa serea. W pobliżu świątyni Rozuma nie możemy już czeić Salpieyuszów i Pawłów, Magdalen i Katarzyn. Niech w każdym kościele symbol enoty moralnej zajmie miejsce na tym samym ołtarzu, na którym wznoszono bezużyteczne modły do fantomów, niech miłość dzieci do rodziców, wielkoduszność, odwaga, równość, dobra wiara, miłość małżeńska, dobroczynność—niech wszystkie te cnoty, mówię, ustanowione w naszych dawnych świątyniach, staną się odtąd jedynymi przedmiotami naszych hołdów... Wówczas szczęście powszechne, niezawodny rezultat szczęścia jednostki, ogarnie najdalej zakątki świata i wszędzie obrzydliwa hydra ultramontańskiego przesądu, ścigana przez złęczone pochodnie rozumu i cnoty, nie znajdując innego schroniska oprócz ohydnych nor dogorywającej arystokracji, zginie z rozpacz w obliczu tryamfa filozofii na ziemi.“

Konweneya umieściła tę petycję w swoich urzędowych baletynach i zaszczytiła ją wzmianką zaszczytną.

W rewolucyach przewraca się ludziom w głowie. Mordercy aczą wspaniałomyślności, głupcy rozum, rozpastnicy cnoty.

Twórcom kulta natury i rozumu, zda wało się niewątpliwie, że uszczęśliwili ludzkość na lat tysiące. Ale rewolucya przeszła szybko krwawą stopą po ich dziecinnych eksperymentach. Oni poszli wkrótce na gilotynę, Francya zaś, oprzytomniawszy, wróciła do zdetronizowanego Boga i otworzyła zamknięte kościoły chrześcijańskie.

XII.

Szarlotta Corday d'Armont.

Dnia 19 Lipca 1793 r., około siódmej godziny wieczorem posuwał się wolno ulicą St.-Honoré znany Paryżowi „wózek.“ Tyle tych wózków straszliwych ciągnęło od roku tą samą ulicą, tylu już wiozły skazańców, iż stolec miała czas przyzwyczaić się do „silnych wrażeń,“ jakich jej rewolucya nie szczędziła. Spowszedniały patryotom les charettes, znudziły ich krwawe widowiska. Ten i ów zaczął się już odwracać na widok aparatu „oczyszczającej kraj ze zdrajców“ wolności.

Dlaczego szedł dziś liczniejszy tłum ciekawych za smutnym korowodem, dlaczego przypatrywali się przechodnie uważniej nowej ofierze rewolucyi? Nawet Danton, Robespierre i Desmoulins znajdowali się między gapiami, zamyśleni, zdziwieni.

Bo nie zwykłego „arystokratę, zdrajcę, podejrzanego o knowania rojalistyczne“ miała dziś nienasycona gilotyna pochłonać. Na wózku stała przystojna, różowa, świeża, jak kwitnąca jabłoń, dwudziestopięcioletnia dziewczyna, ubrana w białą suknię i w czerwony płaszcz ojcobójcy.

To Szarlotta Corday d'Armont, zabójczyni Marata. Przebiła nożem „ojca ojczyzny,“ przeto ustrojono ją na drogę ostatnią w hańbiący płaszcz ojcobójcy.

Peuple, Marat est mort; l'amant de la patrie
Ton ami, ton soutien, l'espoir de l'affligé,
Est tombé sous les coups d'une horde flétrie;
Pleure, mais souviens—toi qu'il doit être vengé.

wyrzył na ścianie domu, w którym mieszkał zamordowany „król anarchii,“ jakiś żarliwy maracista. Płacz, narodzie, po kochanku ojczyzny, po przyjacielu, podporze ludu!

Jakże nie miała tak niezwykła zbrodniarka budzić zdumionej ciekawości? Paryż chciał się przypatrzeć tej, która podniosła rękę zuchwałą na ubóstwianego przez motłoch „ojca ojczyzny.“

A ona, rzecz szczególna, stała tak spokojnie na wózku, spoglądała tak pogodnym wzrokiem dokoła, jak gdyby jej samienie nie wyrzucało. Potwór, nie ko bietal..

Przybyła tema dni ośm do Paryża (11 Lipca) z normandzkiego miasteczka Caen, i stanęła w małym hoteliku de la Providence. Położyła się do łóżka, znazona drogą daleką, i spała zdrowym snem młodości aż do białego dnia. Nazajutrz odwiedziła posta Duperrent, czytała Plutarcha, „biblię silnych,“ kupiła duży nóż za 40 sous.

Dwa dni potem 13 Lipca, pod wieczór, udała się na ulicę des Cordeliers i zastukała do drzwi Marata. Otworzyła jej kochanka „ojca ojczyzny,“ Katarzyna Evrard, pytając, czego żąda. „Chcę się widzieć z obywatelem Maratem — odrzekła — mam dla niego ciekawe wiadomości.“ „Obywatel Marat jest w tej chwili w kąpieli, nie może pani przyjąć.“

Ale z głębi mieszkania odezwał się potężny głos Marata: wpuścić!

Wpuszczono ją — weszła.

Marat, siedząc w wannie, pisał na desce. Dziewczyna młoda, ładna, robiąca wrażenie skromnej panny z prowincyi, nie budziła w nim podejrzeń.

— Czem ci mogę służyć, obywatelko?

Szarlotta Corday wiedziała, czem może zająć uwagę Marata, głównego denuncyanta rewolucyi. Cytowała mu nazwiska posłów normandzkich, podejrzanych o spiskowanie przeciw rewolucyi, powiedziała,

gdzie się ukrywają. Krwi ludzkiej bezustannie łaknący „ojciec ojczyzny,“ był tak uradowany denuncyacją, zapisywał z taką skwapliwością nazwiska „wrogów ojczyzny,“ iż nie zwracał uwagi na pożądanego gościa.

— Za tydzień zginą na gilotynie — rzekł, zadowolony, że spadnie znów kilka głów „podejrzanych.“

W tej chwili błysnął nóż i uderzył z taką siłą, że przebił go na wylot. „Kochanek ojczyzny“ przestał istnieć.

Nadbiegła policya, zawlokła morderczynię do więzienia, przed trybunał rewolucyjny. Zapytana przez sędziów, dlaczego zabiła Marata, odrzekła spokojnie: chcę wrócić ojczyźnie mojej pokój!

Trybunał rewolucyjny uciął jej głowę, jeden z pomocników kata spoliczkował głowę uciętą, maraciści wyli z wściekłości, ale Paryż nie podzielał ich oburzenia.

Paryżowi zaczął brzydnąć niewysychający od roku potok ludzkiej krwi. Paryż nie klaskał, kiedy głowa Szarlotty Corday spadła, bo ta zabójczyni „ojca ojczyzny“ była pierwszym głośnym, żywym protestem budzącego się obrzydzenia do krwawych rządów rewolucyi.

Szarlotta Corday d'Armont, pochodząca z podupadłej, zubożałej szlachty normandzkiej, miała w sobie krew Corneille'a,

twórcy tragedii francuskiej—była jego prawniczką po kądzieli. Jej pradziad pisał tragedie, jej ojciec, zajmujący się więcej książkami niż dziećmi, był rewolucjonistą, ogłaszał broszury przeciw nadużyciom szlachty. Po pradziadku wzięła podniosłość uciechu, szeroki gest koturnowy — po ojcu pojęcia republikańskie.

Wychowała się w Caen, w klasztorze *Abbaye aux dames*, założonym przez żonę Wilhelma Zdobywcy, Matyldę, w otoczeniu takich samych, jak ona, zubożałych szlachcianek.

Do cichego klasztoru dolatywały echa rewolucji. Panny czytały pokryjomą *Voltaire'a*, *Rousseau'a*, *Raynala*, zapalając się zapachem pierwszej młodości do teorii, które obiecywały Francji i ludzkości raj na ziemi.

Szarlotta Corday wyszła z klasztoru entuzjastką wolności, szczerą republikanką, wierzącą z całą naiwnością młodej duszy w możliwość owego raju na ziemi. Jak pani Roland, zaczytywała się i ona w *Platona*, biorąc z niego w siebie „notę republikańską“, „męstwo obywatelskie.“

Ale rzeczywistość zadawała kłam jej wierze, jej marzeniom.

Zamiast raju na ziemi, zbudowała rewolucja olbrzymi szlachtaż, paściła w ruch gilotynę, „pierwszego ministra” rzecypo-

spolitej,“ który pracował z rozpędem bezmyślnej maszyny. Trybunał rewolucyjny zachowywał się, jak pijany, jak szalony. Do potępienia „podejrzanego“ wystarczała denuncjacja wypędzonego ze służby za kradzież lokaja, rozgniewanej na panią pokojówki, praczki, stróżki, fryzjerki, niewinny list, jakaś pamiątka rodzinna, przechowywana w domu (portret, medalion, pieczętka herbowa), nierozważnie rzucone słówko, najłżejsza krytyka terroryzmu. Sławiona w mowach sejmowych wolność stała się krwiożerczą despotką, nienasyconą drapieżnicą, zabijającą bez celu, bez planu, jak tchórz, który wpadł do karnika.

Kamil Desmoulins, ochłonawszy nieco z pierwszego zapachu rewolucyjnego, pisał w „*Le vieux Cordelier*“, krytykując pozornie despotyzm rzymski: „Śmierć tylu niewinnych i czeigodnych obywateli zdawała się mniejszą klęską od bezczelności i skandalicznych fortun ich zabójców i denuncjantów. Codziennie wstępował nietykalny donosiciel do pałacu śmierci, by zabrać jakiś bogaty spadek. Wszyscy ci denuncjanci stroili się w najpiękniejsze nazwiska, ka, kazali się nazywać Scipionami, Cottami, Regulasami, Cassiasami, Severasami. Denuncjacja była jedynym środkiem dojścia do znaczenia; trzy razy nosił Regulus za denuncjacje purpurowy, złotem dzierzgany

płaszcz konsula. Jacy oskarżyciele, tacy sędziowie. Trybunały, obrońcy życia i własności, stały się rzeźniami, w których to, co nazywało się karą i konfiskatą, było po prostu morderstwem i kradzieżą“ *).

Teorya swoją drogą, a człowiek swoją.

Teorya rewolucyi obiecywała wszystkim obywatelom Francyi wolność, równość, sprawiedliwość, szczęście, człowiek zaś wysunął, jak zwykle, na sam przód sceny politycznej swoje osobiste ambicje.

I żeby tylko ambicje...

Ale w rewolucyach wyłażą z wszystkich dziur i kątów, z wszystkich nor i rynsztoków najpodlejsze instynkty i pożądliwości ludzkie, ukrywające się w czasach spokojnych ze strachu przed czajnym okiem i karzącą ręką sprawiedliwości, i spacerują w jasny dzień po ulicach, ustroiwszy się w płaszczy doktryn politycznych, łapą szukając lub załatwiając osobiste rachunki.

Zemsta, chciwość, zmysłowość, brutalność, nienawiść, odgrywały w rewolucyi nie mniejszą rolę od doktryn filozoficznych i politycznych. Wielkie mnóstwo głów spało tylko dlatego, że zawadzały jakimś karyerowiczowi, złodziejowi, łotrowi. Wiadomo, że teroryści, z wyjątkiem kilku, kil-

kunasta, dorobili się na rewolucyi znacznych fortun, że kradli na prawo i lewo, że bawili się doskonale, używali życia za pieniądze pomordowanych ofiar.

Teorya swoją drogą, a człowiek swoją...

Najpiękniejsza teorya zmienia się w ręku ludzkim w karykaturę.

Ten sam Kamil Desmoulins, w pierwszych latach rewolucyi denuncyujący z wielką gorliwością monarchistów i umiarkowanych republikanów, drwi później niemiłosiernie ze swoich byłych przyjaciół, gdy się zabrali do jego rodziny. „Znasz mojego teścia, obywatela Daplessis, syna chłopca, kowala wiejskiego? — pisze w „Vieux Cordelier“ — Otóż! Przedwczoraj dwóch komisarzy sekeyi Muciasa Scewoli stawili się u niego na rewizję. W bibliotece znajdują ci panowie dzieła prawnicze, i nie zważając na dekret, który zabrania dotykać Domata i Dumoulina, chociaż ci uczeni zajmowali się sprawami feodalnymi, opiekowali się połową biblioteki. Znajdą dalej zegar, którego wskazówka kończy się treflą, jak wszystkie wskazówki zegarów, i uważając, że trefl jest podobną do lilii (herb Barbonów) konfiskują zegar. Zważ jednak, że tuż obok zegara stał kufer z marką kupca, wyobrażającą kwiat. Jakkolwiek trudno było zaprzeczyć, że ów kwiat był w istocie ładną, dobrą lilią, komisarze

*) Camille Desmoulins: „Oeuvres“, wydanie „Bibliothèque Nationale“ z r. 1901; tom III, str. 13.

zadowolnili się wydrapaniem owej lilii, dając pokój kafrowi bez wartości. Ale zegar, który kosztuje 1,200 fr., zabrali.

„Nakoniec znajduje dąmwirat sekeyjny dyplom mojego teścia, który, jak wszystkie dyplomy, zaczyna się od imienia króla: „My, Ludwik i t. d...” Nieba!—zawołali komisarze—nazwisko tyrańca! I ochłonawszy z oburzenia, schowali dyplom do kieszeni, czyli ukradli 1,000 franków rocznej renty. A oto jeszcze inna zbrodnia! Obywatel Duplessis, który był za rządów królewskich urzędnikiem finansów, miał u siebie, jak to było w zwyczaju, pieczęć kontroli, i zachował stary portfel służbowy, spoczywający w szafadzie szafy, w kurzu i zapomnieniu, nietknięty od lat dziesięciu. Lilie na pieczęci i na portfelu były dostatecznym powodem do uznania obywatela Duplessis za podejrzanego, do aresztowania go i opieczętowania jego domu. Najzabawniejsze w tej historii to, że ów sześćdziesięcioletni podejrzanym był najradykałniejszym ze wszystkich radykałów, jakich znałem. Podług niego zamykano tylko spiskowców, co najmniej arystokratów, a gilotyna odpooczywała zbyt często *).

Lekkomyślnego Desmoulinsa bawiła fa-

*) Camille Desmoulins: „Oeuvres,” j. w t. II, str. 96—98.

rya donosielska republikanów. Miał się wkrótce przekonać, że w rewolucjach tryska z niepożądanego, nieproszonego śmiechu krew. Bo właśnie za owe satyry, za „Vieux Cordelier’a” dał głowę.

Głupota, ignorancja i chciwość władców aliecy nie była wcale zabawną, nadającą się do pastych drwin. Uderzała ona, podrażniona, ciężką pałą morderecy i zabijała. A zabijała nie tylko ciało, lecz także duszę i serce.

Bezustanne mordy polityczne spowodowały w końcu taki zanik szlachetniejszych pojęć i tkliwych uczuć, iż republikanie bawili się nieszczęściem, bólem bliźniego, jak czemś bardzo wesołym, dowcipem. Jakobinki nosiły w uszach małe, złote gilotynki, a piękne Żyryndystki skomponowały sobie szczególnego rodzaju rozrywkę. Opowiadają „Annales patriotiques” (we Wrześniu 1792 r.), że w jednym z głównych salonów żyryndystowskich w Paryżu wnoszono po obiedzie, po kolacyi ładną gilotynkę z drzewa mahoniowego. Wśród powszechnego śmiechu całego towarzystwa kładły republikanki pod nóż lalkę, wyobrażającą któregoś z przeciwników rzeczywospolitej: Lametha, Laffayette’a albo Bailly’ego. Nóż spadał, odcinał głowę lalki i z otwartego tułowia wytryskiwała ciecz czerwona, jakiś likwor, jakieś perfumy.

Piękne panie maczały chusteczki w tym płynie pachnącym.

Bawiono się w gilotyne, jak w karty i warcaby, igrano ze śmiercią w jej groźnem obliczu. Bo gilotyna prawdziwa zmiołła wkrótce prawdziwe głowy swawolnych republikanek, mężów ich, braci i kochanków.

Tyle głów padało codziennie, niewiadomo za co, niewiadomo po co—głów starców, kobiet, dzieci bez różnicy stanu, iż się nareszcie ta okrutna zabawka demagogów zaczęła nawet najżarliwszym republikanom przykrzyć.

Zaczęła się przykrzyć przedewszystkiem kobietom, z natury tkliwszym, wrażliwszym na cudze cierpienie od mężczyzn.

Serce niewieście, nasyciwszy się wstrząsającymi wrażeniami rewolucyi, ulitowało się nad ofiarami oszalałej polityki. Nawet pani Roland, nawet Olympia de Gouges i Théroigne de Méricourt stakały do bram Konwencyi, domagając się zmiany metody „oczyszczającej kraj“ z żywiołów, nieprzychylnych demagogii. Clémence! odzywano się tu i owdzie w obozie republikańskim, a Marat ryczał ciągle na zebraniach ludowych i w swoich świstkach drukowanych: zabijajcie, zabijajcie!

Echo tego ryku słyszała na prowincyi, w normandzkim miasteczku Caen, panna Szarlotta Corday d'Armond i w sercu pra-

wnaczki Corneille'a, któremu dramatyczne, podniosłe uczucia nie były obce, które napiło się Plutarcha, „biblii mocnych,“ zaczęło kielkować pragnienie uwolnienia zatrwożonej, stroskanej ojczyzny od potwora, od smoka, karmiącego się tylko krwią. Pragnienie to kielkowało, rosło wolno, aż rozwinęło się w zamiar dojrzeć, stanoweży. „Usunę tego potwora, tego smoka—powiedziała sobie Szarlotta — aby nad Francją błysnął znów biały anioł pokoju.“ Wierzyła, że gdy Marat przestanie nawoływać do mordów, zamilknie zgrzyt noża gilotyny.

I udała się do Paryża i zabiła Marata.

Przyjaciele „ojca ojczyzny“ podsuwali jej romans z Żyromdystą Barbaroux'em. Kochała umiarkowanego republikanina i dlatego zemściła się na jego wrogu, który go wskazywał krwawym palcem trybunałowi rewolucyjnemu, jako „podejrzanego.“ Inni znów opowiadali o stosunku miłosnym z royalistą Belzunce.

Plotki to kłamliwe.

Szarlotta Corday była jedną z owych natur entuzjastycznych, umiejących żyć tylko dla jakiejś idei, przenoszących poświęcenie nad miłość. Rewolucye wydają takie natury niepospolite, bohaterskie, bez różnicy płci. Należała także do nich pani Roland.

Stojąc przed sądem, odpowiadała Szarlotta Corday jasno i przytomnie.

— Kto natchnął ciebie taką nienawiścią?—pytał sąd.

— Nie potrzebowałam cudzej nienawiści, miałam bowiem dosyć swojej — odpowiedziała.

— Kto poddał ci ten czyn?

— Wykonywa się źle to, co się nie urodziło we własnej duszy.

— Co nienawidziłaś w Maracie?

— Jego zbrodnie.

— Co przez to rozumiesz?

— Spustoszenie Francyi!

— Czego się spodziewasz od zabójstwa Marata?

— Pokoja mojego kraju.

— Czy ci się zdaje, że zabiłaś wszystkich Maratów?

— Po śmierci jednego będą się inni może bali *).

Tak jasno i spokojnie nie odpowiada kobieta, która działa pod wpływem cudzej namowy lub powodowana pospolitem uczuciem zemsty.

Szarlotta Corday nie zabiła wprawdzie wszystkich Maratów, ale dała hasło do reakeyi, która kielkowała już w sercach Francuzek.

*) I. Michelet: „Les femmes i t. d.“ j. w., str. 233.

I dlatego nie klaskał Paryż, kiedy jej ściętą głowę spoliczkowała podła ręka kata, i dlatego domagał się tak natarczywie ukarania nikezemnego zbira, iż Konwencya musiała uledz—musiała uwięzić bydlę, znęcające się nad umarłą.

XIII.

Reakcyja przeciwrewolucyjna.—Kobiety z ludu.—Pani Tallien.

Zdawało się ludowi francuzkiemu, że rewolucya włoży do garnka najuboższego ową karę, o której Henryk IV marzył dla głodnych swojego królestwa, że przewrót polityczny zdławi raz na zawsze nędzę z biedą, wypędzi z pod niskich strzech troskę o chleb powszedni.

Tak mu obiecywali politycy, mówcy, agitatorowie i dziennikarze rewolucyjni; tak wierzył, bo całą jego polityką była nienawiść do nędzy, która dusiła go od lat stu, jak zmora, pożerając jego wnętrze.

Rewolucya przedstawiła się w pierwszej chwili w istocie w bogatej sukni hojnej, gościnnej pani.

W pierwszych dniach Maja 1791 roku

bawił się lud paryzki wesoło. Całe stada wołów i owiec, liczne wozy z chlebem, winem, wódką wchodziły przez zbarzone rogatki do stolicy.

Rewolucya wyprawiała dla ludu paryzkiego bal, podejmowała go serdecznie. Lud jadł, pił, tańczył, wykrzykując od świtu do późnej nocy: niech żyje wolność, niech żyje Zgromadzenie narodowe!

I cła miejskie, owe znienawidzone przez ubogą ludność Paryża cła od piwa, wina, tytonia, chleba, mięsa, soli, podróżające niezbędne artykuły żywności, owe pi Jawki nędzarzów, na które skarżyły się tak żałośnie „damy z hal“ w swoich petycyach do sejmu *) zniosła rewolucya w pierwszej chwili.

Więc cieszył się ubogi lud paryzki: nasza bieda skończyła się nareszcie!

Cieszył się, biedny, niedługo...

Bo oto wypędziła ciągła trwoga przed gilotyną z Francyi bogatą szlachtę. Opustoszał Wersal, opustoszały zamki i pałace książąt, margrabiów, hrabiów, kawalerów. Kto zdążył uciec zagranicę przed furią rewolucyi, uciekł, kto nie zdążył lub nie mógł się schronić u obcych, ukrywał się w miastach prowincjonalnych, przerażony, zafu-

*) „Cahier des plaintes des dames de la Halle.

kany, starający się odwrócić od siebie uwagę życiem cichem.

I skrępowana rewolucya także ruchy duchowieństwa, odjęła blask owym 18 arcybiskupom, 118 biskupom, 11,850 kanonikom, 44,000 proboszczom, całej armii zakonników, zakonnice.

Rewolucyoniści tryumfowali, że rzucili o ziemię, zdeptali „podłych arystokratów i klechów,” ale ubogi robotnik uczał wkrótce na swojej skórze skutki tego tryumfu.

Bo szlachci i ksiądz francuzki XVIII stulecia utrzymywali krocie pracowników. Szlachci i ksiądz sypali pieniądze na prawo i lewo. Otaczając się zbytkiem, ubierając się w jedwabie, koronki, mieszkając bogato, wytwornie, prowadząc domy otwarte, gościnni, hojni, rozrzadni, żywili literaturę, sztukę, naukę, przemysł, bogacili handel. Głównie biskupi i opaci, „profesorowie szalonej rozrzadności,” używali swoich ogromnych dochodów z nieopatrznością magnatów, którzy, nie posiadając rodziny, nie mieli potrzeby oszczędzać dla potomków.

I zamożna burżuazya (finanse, przemysł), przerażona nienawiścią rewolucyi do bogatych, przykucała, zamknęła kieszeń przezornie, czekając w skromnych zaciszach na koniec burzy.

Emigracya bogatej szlachty, zubożenie duchowieństwa i przezorność możnej

burżuazji pozbawiła chleba krocie robotników, cały ten długi, ruchliwy ogon: artystów, półartystów, lepszych rzemieślników, jubilerów, złotników, wytworniejszych szwaczów, krawców, modystek, szwaczek, kwiatciarek, fryzjerów, perukarzy, służby męskiej i żeńskiej, wlokący się za rydwanem Złotego Cielca. Same tylko galony liberyjne i herby, zdobiące drzewiczki karet, zatrudniały 40,000 biegłych rąk.

Równocześnie z pracą padł przemysł.

Ranęły słynne fabryki płótna i bawełny w Sedan, Louviers, Elbeuf, Marsylii, Rouen, Amiens, Abbeville, które współzawodniczyły szczęśliwie z pomysłowością angielską; stanęły głośnie w całej Europie kaźnie paryżkie, dostarczające światu wyrobów stalowych i miedzianych; przestały produkować znakomite przedziałnie Alzacyi.

Rewolucya, druzgocząca bezmyślnie wszystko, całą przeszłość, całą kulturę szeregu wieków, nie zastanowiła się nad tem, że same prawa nie wystarczają człowiekowi. Bo cóż ubogiemu po wolności i tytule obywatela, kiedy mu nędza nie pozwala korzystać z tej wolności i z tego tytułu?

Za upadkiem przemysłu idzie upadek handlu. Cierpi głównie kupiec drobny, bezpośredni dostawca artykułów codziennego użytku.

Sklepy i sklepiki miast francuzkich

świeciły pustkami. Przekupień, nie mając z czego żyć, zanosił swoje graty i sprzęty sklepowe do lombardu. Już w Październiku 1789 r. na samym początku rewolucji nagromadziło się w lombardach paryzkich trzy miliony drobnych zastawów, otaksowanych poniżej luidora. Od Kwietnia 1789 roku wydały sądy 60,000 wyroków, skazujących niewypłacalnych, zbankrutowanych dłużników na więzienie.

Nędza rosła z postępem rewolucji. Doprowadziły ją do szczytu asygnaty, narzucone narodowi przez rząd, posiadające wartość bardzo małą. W czasach najlepszych płacono 25 za 100, co zrujnowało ostatecznie ludność uboższą.

Z ciężkiego położenia ludu francuzkiego korzystała skwapliwie czarna banda ohydnych wampirów, tuczących się nie-szczęściem, bólem i cierpieniem bliźniego. Zgraja lichwiarzów, głównie żydów, czatowała na ulicy Vivienne, zwanej quartier des Arabes, na ubogich lub lekkomyślnych, wydzierając z nich ostatni grosz. Zgraja ta skupowała asygnaty, płacąc za nie monetą (12 za 100), obniżała różnemi złodziejskimi sztuczkami wartość papierów i wypożyczała osobom pewniejszym pieniądze na wysoki procent. Wodziła ona rej na giełdzie.

Cały Paryż, bogaty i ubogi, ciągnął na

ulicę Vivienne, w rewolucyach bowiem przestają być bogaci bogatymi. Czarna banda porastała w pierze, tyła z dnia na dzień. Mnóstwo dzisiejszych fortun mieszczańskich Francji powstało w owym quartier „arabskim.“

Niejednemu z wyzyskanych zbrakło cierpliwości. Zżywał się, hałasował, groził latarnią. Wówczas zwinęła zgraja złodziejska swoje namioty na ulicy Vivienne i przeniosła się na ulicę Vieux-Augustins. Tak nienasyconą jest cheiwość lichwy, iż stawia odważnie czoło nawet śmierci, nawet latarni rewolucyjnej.

Gdy się ludowi paryzkiemu sprzykrzyły czarne praktyki lichwiarzów, pehnął jednego, drugiego, trzeciego nożem, nadział go na pikę, ale miejsce zabitego zajął natychmiast żywy. I handel szedł dalej. Na giełdę paryzką w chwili, kiedy spekulanci bawili się w zniżkę papierów publicznych, wpadła gromada patryotów: „za drzwi złodzieje, brygancii“ Złodzieje, bryganci drapnęli co tchu przed słasznym gniewem okradanych, nazajutrz jednak wrócili, bawiąc się dalej kosztem ubogich w baiss'ę.

Emigracya szlachty, zubożenie duchowieństwa, rozrzutność rządu republikańskiego i cheiwość lichwy doprowadziły lud do takiej nędzy, iż przestał wierzyć obietnicom rewolucji. Zbogaciło się kilkanaście

tysięcy karyerowiczów, oszustów, złodziei, drapieżników, którzy, ocierając się blisko o rząd, zajmując posady rządowe w stolicy i na prowincyi, korzystali bezwzględnie ze swojego stanowiska, kradli po prostu bezwstydnie; wielka jednak masa ludu francuzkiego nie zarobiła nic na rewolucyi. Jak była ubogą, tak została ubogą.

Nędza, pożerająca nędzarzów, dała pierwsze hasło do reakcyi.

Tę nędzę odczuwały najwięcej kobiety, cierpiące potrójnie, za siebie, za mężów, za dzieci. Głównie za dzieci.

Więc jakże to? One, kobiety, z ludu, klaskały tak szczerze, tak gorąco rewolucyi! A nie tylko klaskały, lecz szły na ulicę, brały czynny udział we wszystkich zamachach, podniecały swoich mężów i kochanków do mordowania arystokratów. One, „amazonki rewolucyi, bachantki nowego boga *Libera*“ sprowadziły króla z Wersalu, szturmowały Tailerye, tworzyły na placu Rewolucyi zwykłą, straszliwą, wyjącą galerię gilotyny.

A za to?

Za entuzjazm rewolucyjny, za oklaski, za czynny udział — za tyle zasług, położonych dla wyzwolonej Francyi, cierpiały głód, nie miały czem nakarmić dzieci. Przeto obrzydła im wolność.

Pierwsze „damy z hal“, przekupki, słynne rybaczki, wściekle farye rewolucyi, przypomniały sobie, że były zawsze wyróżniane przez dwór królewski, że były zawsze gorliwemi rojalistkami. Już pod koniec 1793 roku przestały nosić kokardy trójkolorowe i drwiły z tytułu „obywatelki.“ Gromadę Jakobińców, które wtargnęły do hal z zamiarem ukarania zbuntowanych przekapek, potarbowały srodze ku uciesze całego Paryża.

Nienawiść kobiet z ludu do rewolucyi rosła, zataczała coraz szersze koła z każdym miesiącem 1794 r. Bo oto, kiedy zabrakło demagogom i ich gilotynie głów arystokratów, wyciągnęły się krwawe łapy po głowy demokratów, sankiulotów nawet. Głównie Robespierre rzucał pod nóż „panny Gilotyny“ całe stosy dzieci drobnego mieszczaństwa i ludu przedmiejskiego. Więc rozległ się w halach, w sklepach i sklepikach, na przedmieściach groźny okrzyk: „rabusie, złodzieje, mordercy!“ Najgorliwsze, najfanatyczniejsze „amazonki“ zaczęły rewolucję przeklinać.

Przeklinała ją także jej druga przybozna gwardya w spodnicy — armia kobiet upadłych, z początku tak samo „patriotyczna“, jak rybaczki. Tak gorliwemi „patriotkami“ były kokoty paryżkie jeszcze w Lipcu 1793 r., iż odmawiały miłości wsze-

lakim arystokratom i innym zdrajcom. „Obywatelki—mówił do nich Henriot, szczególnego rodzaju generał, naczelnik gwardyi narodowej, spędziwszy je do kupy w ogrodzie Égalité — czy jesteście dobrymi obywatelkami?—A one odpowiedziały chórem: „Jesteśmy, jesteśmy!“—„Czy nie ukrywacie wypadkiem w swoich gabinetach jakiego arystokraty, nieposłusznego księdza, Austriaka, Prusaka? — „Fi, fi—oburzyły się dobre obywatelki i republikanki — przyjmujemy tylko sankiulotów.

Jakże nie być względnym, pobłażliwym dla tak gorliwych „patryotek, obywatelek, republikanek,“ które sprzedają swoją miłość tylko szczytem sankiulotom?

Rewolucya była w istocie w pierwszych latach pobłażliwą dla kokot, pobłażliwszą od monarchii. Nie zamykała ich w więzieniach, nie strzygła im głów. Zajęta zresztą głównie polityką, tropieniem i zabijaniem t. zw. rojalistów, arystokratów, czyli właściwie ludzi umiarkowanych, nie miała czasu do zwracania uwagi na gospodarkę występku.

A ten występki szerzył się z gwałtownością epidemii. Bardzo liczny za czasów monarchii, przybrał z chwilą, kiedy gilotyna zaczęła pracować, rozmiary przerażające. Niepewność jutra, ciągła trwoga o życie rzuciła ludzi młodych w objęcia

rozpasty: kiedy mam zginąć, niech sobie przynajmniej przedtem użyję! Francya, zawsze zmysłowa, lubieżna, a w wieku XVIII rozpustna, nie służyła nigdy tak gorliwie, z takim szaleństwem Wenerze, jak w latach 1790, 1791, 1792 i 1793. Upadłe kobiety opanowały ulice, ogrody publiczne, kawiarnie, restauracje, teatry, magazyny mód. Słynny, najpierwszy paryżski magazyn mód przy ulicy Saint-Honoré pod nazwą au trait galant był istną „akademią zepsucia.“ W mniejszych teatrach, w lożach zamkniętych odbywały się schadзки; aktorki ukazywały się na scenach w kostiumach tak przezroczystych, iż nie były prawie wcale ubrane. W oknach księgarni, na ścianach kawiarni, restauracji, na ciastkach nawet i karmelkach widziano rysunki pornograficzne. Na ulicach spacerował bezwstyd żywy, drukowany, śpiewany. Skrzypek Bellrose biegał po całym mieście ze swojemi ohydliwymi piosenkami *) słuchany wszędzie z radością, oklaskiwany z zapalem.

Rewolucya, cała gadająca, dysputująca, wielająca przy pomocy trybunału rewolucyjnego, kata i gilotyny doktryny filozofów, encyklopedystów, przypatrywała się przez kilka lat obojętnie temu sabatowi rozpasty. Wszakże szukali nawet sami ko-

*) „Chronique de Paris,“ Luty 1792 r.

mendanci wywrotą, sami demagogowie, znazeni, zdenerwowani straszliwą robotą, zapomnienia w objęciach łatwej miłości. Bo i oni nie byli pewni jutra. Kto dziś rozkazywał, mógł się znaleźć w każdej chwili przed trybunałem rewolucyjnym. Tyle przyjemnego życia, ile go ktoś szybko, bez namysłu pochwyci. Jutro, pojutrze, nie należy do nikogo, o czem wiedział najlepiej kat Sanson, który dziwił się ciągle, że prowadził na szafot ludzi, jeszcze wczoraj tak potężnych, iż skóra cierpła mu na grzbiecie na ich widok.

W końcu jednak sprzykrzyło się bezwstydne królestwo nierządu nawet demagogom, lecz nie jako brud moralny, nie jako wrzód społeczny, jeno jako szkodliwe zjawisko, „hańbiące wolność,” podkopujące jej znaczenie. Rojaliści i cudzoziemcy drwili z wolności, która wydała tak potworne owoce. Na wniosek prokuratora komuny paryzkiej, Manuela (w Październiku 1793 r.) oczyścił rząd republikański ulice, place, ogrody, restauracje, kawiarnie z kobiet upadłych, nakazawszy im skromność i przyzwoitość pod groźbą surowej kary „za krzewienie niemoralności i zakłócania spokoju publicznego.”

Podniosła się natychmiast wielka wrzawa w wesołym świecie rozpasty, a kiedy Robespierre, „cnotliwy, sprawiedliwy, nie-

przedajny,” marzący o idealnem państwie Rousseau’a, zaczął karać po swojemu opierające się swawolnice, odwróciła się tyłem do rewolucyi przeszło sześćdziesięcioletnia armia córek Wenery, zawrzała ku niej namiętną nienawiścią. Te same „obywatelki,” które wołały: „fi, fi!” kiedy je Henriot posądzał o ukrywanie „zdrajców-arystokratów,” przyznawały się teraz głośno, jawnie do rojalizmu, stały się wrogami wolności.

Nigdy nie występują samolubstwo i głupota ludzka tak jaskrawo, tak plastycznie, jak w rewolucjach, których szybko po sobie idące wypadki wywracają naturę ludzką na nice, odsłaniają jej treść istotną.

W roku 1794 straciła rewolucja dwóch potężnych, hałaśliwych pomocników: przekupki paryzkiej i t. zw. dzisiaj półświatek. „Amazonki, kapłanki nowego boga Liber” przyłączyły się do liczego już obozu niezadowolonych, znudzonych despotyzmem i krwiożerozością wolności demagogicznej. One to wyły z radości, kiedy krew Robespierre’a obryzgała stopnie szafotu.

Od obalenia dyktatury Robespierre’a, od dziewiątego termidora uspokajała się powoli, wygładzała, milkła wspieniona, hucząca fala wzburzonych namiętności. Jeszcze bryznęła rewolucja kilka razy krwią,

jeszcze drgnęła kilka razy konwulsyjnie, ale były to już jej kareze ostatnie.

W spokojniejszych czasach dyrektoryatu zabrakło miejsca na kobiece typy rewolucyjne w rodzaju pani Roland, Olimpii de Gouges, Théroigne de Méricourt, Róży Lacombe i Szarlotty Corday. Francya, bawiąca się radośnie po grozie teroryzmu, przestała się zachwycać postaciami na miarę bohaterek Corneille'a, wołała kobiety ładne, miłe, przyjemne, wesołe. Wiele niem tego rodzaju była pani Tallien.

Bardzo urodziwa Hiszpanka, hrabianka Teresa Cabarrosse, wyszła za francuzkiego margrabiego de Fontenay. Teroryzm zastał ją w Bordeaux, gdzie mieszkała z mężem.

Do Bordeaux przybył Tallien, członek Konwencji, „reprezentant narodu“ z misją „oczyszczenia bogatego miasta z żywiołów przeciwwolucyjnych.“ Syn stróżki, wychowany na ulicach przedmieść paryzkich, w rynsztoku, zwany powszechnie *ce gamin de Paris*, następnie chłopiec w drukarni, znalazł się niespodziewanie, jak wielu do niego podobnych, na najwyższych szczeblach drabiny społecznej. Zasługując się rewolucyi krzykliwością i bezwzględnością, zwrócił na siebie uwagę motłocha, który wybrał go do Konwencji, gdzie zasiadł na „Górze“, na skrajnej lewicy obok

Robespierre'a i różnych rzeźników, byłych lokajów, szewców i łobazów, wychowanych w rynsztoku tak samo, jak on. Zaskarbiwszy sobie łaski „Góry“ jaskrawością poglądów, odegrał w rewolucyi rolę wybitną, gdy „Góra“ dorwała się do władzy. Mianowany „reprezentantem narodu“ nie zawiodł pokładanych w nim nadziei demagogów. Mordował na prowincyi, jak oszalały zbój, a kradł, gdzie i co się dało.

W więzieniu bordoskiem zastał przepiękną, wykwinłą margrabinę de Fontenay, którą kiedyś w Paryżu, jako drukarezyk, widział zdaleka, w karecie. Teraz był on panem wszechwładnym, wielmożnym, potężniejszym od książąt, a ona, *haute et paisante marquise*, bezsilnym więźniem, zależnym od jego łaski. Mógł ją zabić, miał do tego prawo. Nosiła przecież nazwisko historyczne, była szlachcianką, co wystarczało do ucięcia jej pięknej głowy. Niktby go za to nie potępił; przeciwnie, pochwalonoby go za „cnotę republikańską.“

Urodziwa szlachcianka podobała się gaminowi paryzkiemu. Więc w targ: ja uwolnię ciebie i twojego męża, a ty oddasz mi za to siebie, swoją miłość!

Szlachcianka francuzka nie byłaby się zgodziła na taki handel bezwstydnny, ale młoda Hiszpanka, lubiąca życie, nie ożywiona duszą takiej pani Roland, lub Szar-

lotty Corday, nie wytrawiona w oczyszczającym ogniu rewolucyi, nie owiana gorącym teńnieniem wielkich namiętności chwili przewrotowej, przeniosła upokorzenie, gorzycz zgwalcanej miłości nad gilotynę.

Pani de Fontenay wyszła z więzienia, aby pójść za Tallieniem do Paryża, gdzie ją demagog zmusił mimo jej oporu do zawarcia związku małżeńskiego według obrządku republikańskiego devant le soleil, devant la nature.

Ale w r. 1794 było we Francyi niebezpiecznie kochać szlacheciankę. Komitet bezpieczeństwa publicznego wietrzył w takim związku zdradę, agitacyę rojalistyczną, wszelkie zaś podejrzenie, słuszne czy niesłuszne, prowadziło na szafot. Daremnie podwoił Tallien swoje okrucieństwo względem arystokratów, dawał ciągle nowe dowody swojej „noty republikańskiej.“ Komitet bezp. publ. spoglądał na niego ze zezem, obstawiał go szpiegami. Przyjaciele, chcąc go wydobyć z tej sieci straszliwej, uwięzili piękną margrabinę i skazali ją na śmierć.

Wówczas to, w przeddzień egzekucyi rzuciła pani de Fontenay w twarz Talliena ową słynną obelgę, która przyspieszyła upadek Robespierre'a: c'est demain, qu'on me tue; n'êtes vous donc qu'un lâche?

Tallien, spoliczkowany przez kochankę, drżący sam o własną skórę, zdobył się na odwagę skazańca, do którego się kat zbliża ze stryczkiem: uda się, nie uda, do stracenia nie mam, a wszystko do wygrania! On to głównie pioranował w Konwencyi przeciw dyktatorowi, podniecił do zamachu innych posłów, zagrożonych przez Robespierre'a.

Sztuka udała się. Jego namiętna mowa padła iskrą zapalną na grant przygotowany, spowodowała wybuch: Robespierre runął!

Dziewiąty termidora otworzył więzienia. Z la Force wyszła także margrabi-
na de Fontenay, ocalona po raz drugi przez Talliena.

Zdawało się niewątpliwie Tallienowi, że posiedzie teraz nietylko ciało pani Teresy, lecz także jej serce. Wydarł ją przecież po raz wtóry z żarłocznej paszczy rewolucyi, z pod noża gilotyny w chwili, kiedy ten nóż miał spaść na jej piękną szyję.

Omylił się... Bo cóż mogło łączyć wytworną damę, dziecko prastarej kultury, z nim, ulicznikiem paryżkim, zawdzięczającym wybitne stanowisko, jakie chwilowo zajmował, tylko anarchii rewolucyjnej i swoim brutalnym instynktom kanalii? Chyba tylko strach jeden.

A ten strach słabł, bladł po dziewiątym

termidora. Gilotyna przestała pracować, oskarżyciele i sędziowie trybunału rewolucyjnego zasiedli sami na ławie oskarżonych — do Francyi wracał pokój domowy, a z jego wejściem zgasła gwiazda takich Tallienów i do niego podobnych opryszków.

Daremnie otoczył Tallien swoją żonę „republikańską“ zbytkiem, kładł się do jej stóp, pokorny, kochający. Ona urządziła za jego ukradzione pieniądze dom z przepychem królewskim, otworzyła salon, przyjmowała, ugaszczała z hojnością szlachty przedrewolucyjnej władców dyrektoryatu, bawiła się bez pamięci, jak bawiły się wszystkie kobiety żywszego temperamentu po dziewiątym termidorze, romansowała na prawo i lewo, nie troszcząc się wcale o gniew republikańskiego męża.

Bo cóż znaczył teraz gniew tego spętanego nowym prądem tygrysa? Był bezsilny, jak groźba dziecka.

Zazdrosny, rozkochany Tallien gniewał się, nudził żonę scenami małżeńskimi, a ona romansowała najspokojniej z Barrasem, „królem dyrektoryatu.“

Ten zwyrodniały szlachec (hrabia de Barras), przed rewolucją stały gość wszystkich szulerni paryżkich, przystał do Jakobinów, zwietrzywszy, że można coś w zawierusze zarobić. Bardzo ostrożny, przeczorny, ostrożniejszy nawet od Robespierre'a,

trzymał się na uboczu, nie wysuwał naprzód podczas burzy anarchistycznej. Widział, że burza druzgoce, łamie, zmiata najsilniejsze filary rewolucyi, patrzył na śmierć: Barnave'a, Duporta, Bailly'ego, Żyromondów, pani Roland, Desmoulinsa, Dantona, Héberta. Przeto nie pchał się do przodu, czekając na swoją chwilę. Zamiast perorować na trybunach klubów i sejmu, rzucać się zazdrosnym w oczy, budował sobie powoli, po cichu fortunę jako „reprezentant narodu.“ Obłowiwszy się dobrze zdała od Paryża, chował mamonę do kieszeni, aby jej użyć, gdy będzie można używać życia bez obawy przed złotem okiem denuncyanta.

Jego chwila nadeszła.

Barras rozumiał dziewiątego termidora, że krwawa gwiazda terrorystów zgasła. Więc przypomniał sobie, iż służył kiedyś wojskowo — wsiadł na konia i poprowadził gwardyę narodową na ratasz. Po obaleniu Robespierre'a zasiadł w dyrektoryacie, którego był panem właściwym.

Wszystkie instynkty, nałogi i upodobania lowelasa, hulaka i rozrzątnika odezwały się w nim, gdy wolno było się nareszcie bawić we Francyi, bez strachu przed „cnotliwą gilotyną.“ Ponury Jakobin Barras przedzierzgnął się w szlacheca de Bar-

ras, w hojnego, gościnnego, wytwornego pana, który lubi się otaczać zbytkiem i licznym dworem.

Takiemu władcy potrzeba odpowiedniej władczyni. A któż był odpowiedniejszą na towarzyszkę dla rewolucjonisty w skórze szlachcica od pani Tallien? Piękna, wesoła, marnotrawna, elegancka, lubiąca życie margrabina porozumiała się łatwo i szybko z lekkomyślnym, przystojnym dyrektorem. Podawszy sobie ręce, rzadzili ei dwoje, tak dobrani, tak sobie bliżej poglądami i upodobaniami, przez kilka lat Francją, nadawali jej ton, dyktowali rozkazy modzie, reprezentowali z wielkim humorem rząd, przyjmowali w jego imieniu wysłańców obcych państw.

A Tallien?

Zdetronizowany terorysta, żbik z odpiłowanymi zębami i obejętymi pazurami, musiał znosić cierpliwie lekkomyślność swojej żony republikańskiej, bo wszechpotężny teraz Barras mógł mu przypomnieć jego sprawki z czasów „reprezentacji narodowej“, a gilotyna stała jeszcze na placu rewolucyi. Nikt nie byłby się wstawił za nim; nawet motłoch paryzki, jego dobrodziej, nienawidził byłych terorystów. W żelaznych klatkach, jak drapieżne zwierzęta, dostawiał lud francuzki do Paryża wczor-

rajszych dyktatorów, złowionych na prowincyi.

Tallien musiał patrzeć spokojnie, jak wesoła pani Teresa, roztrwoniwszy jego ukradziony majątek, sprzykrzywszy sobie Barrasa, przechodziła ze swobodą kartyzany w drugie, trzecie, czwarte objęcia, jak, drwiąc sobie ze słabów republikańskich, wyszła w końcu po raz trzeci za mąż (1805 r.) za księcia de Caraman. Piękną być musiała i miłą, i pożądaną, kiedy znalazła jeszcze po tak burzliwej młodości legalnego męża. „*Quel roman ma viel* Je n'y crois plus“ — mówiła później, uspokoiwszy się nareszcie.

Pani Tallien była najjaskrawszym typem rozbawionych podczas dyktoryatu kobiet paryzkich.

Tak straszliwie, tak brutalnie tłumił teroryzm wszelką najniewinniejszą radość ludzką, w tak bolesne kajdany okuł wolność indywidualną, iż po dziewiątym termidora wybuchnęła reakcja wesela, aciechy z gwałtownością powodzi.

Sześćset czterdzieści cztery bale wdział Paryż po upadku Robespierre'a. Tańczył Paryż, tańczyła cała Francya.

„Tańczyła Francya, aby się zemścić, aby zapomnieć. Tańczyła pomiędzy przeszłością krwawą, a przyszłością ciemną.

Uwolniona zaledwie od gilotyny, tańczyła, aby przestać wierzyć w gilotynę“ *).

Tańczyli wszyscy: bogaci i ubodzy, starzy i młodzi, rozumni i głupi—szczęśliwi, że się okrutna tragedia wolności już skończyła.

Tańczyły przedewszystkiem kobiety i piły rozkosze życia pełnemi, spragnionemi ustami.

*) E. i J. Goncourt: „Histoire de la société française pendant le directoire,“ wyd. nowe, str 137.

XIV.

Pani de Staël.

Była córką Neckera, Niemca z pochodzenia, kupca z zawodu i pani Necker, Szwajcarki, byłej nauczycielki.

Jej ojciec, mały bankierek genewski, przybył do Paryża z zamiarem zrobienia karyery. I zrobił karierę nadzwyczajną. Złączywszy się z paryzkim bankierem Thélusson'em, jako wspólnik, wzbił się z tego skromnego stanowiska kupieckiego na same szczyty społeczne, na fotel ministra Ludwika XVI.

Pomogła mu do tego żona.

We Francji przedrewolucyjnej szło się do stanowiska towarzyskiego przez salon literacki. Wiedząc o tem, starała się pani Necker gromadzić dokoła siebie wybitniej-

szych literatów, aby stworzyć z nich piedestał dla swojego męża.

Nie szło jej to zrazu łatwo. Bo literaci francuzcy owego czasu byli tak rozchwytywani przez salony arystokratyczne, przez salony księżen, margrabin, hrabin, byli tak zepsuci towarzystwem wykwintnem, iż odwiedzali niechętnie salony mieszczańskie.

Pominąwszy wybredne upodobania literatów, nie miała pani Necker w sobie nic takiego, coby mogło pociągnąć światowców paryzkich. Guwernantka szwajcarska, sztywna, nieobyta towarzysko, pedantycznie nudna, wyszedłszy za bankiera, nie przestała być guwernantką szwajcarską, nie umiała prezydować w salonie, prowadzić konwersacyi, być uprzejmą z wdziękiem dam francuzkich.

Ale silna wola „przenosi góry z miejsca na miejsce.“

Poznawszy na jakimś balu mieszczańskim Marmontela, słynnego w owym czasie dramatopisarza, poetę i nowelistę, nie szczędziła mu słów pochlebnych, aby go sobie zjednać. Zaproszony przez państwo Necker Marmontel dał się uprosić, zaczął bywać w domu bankierskim. On i Thomas byli pierwszymi gośćmi, pierwszymi filarami salonu przyszłego ministra. Za Mar-

montelem i Thomasem przyszli inni, i pozwoli sklecił się salon.

Był to salon nudny, tem nudniejszy, że pani Necker nie umiała ukryć jego celu. Kochająca żona wysławiała ciągle przy każdej sposobności męża; jego enoty, jego talenty, jego zdolności finansowe, jego uczciwość kupiecką, „robiła mu reklamę“ z niezręcznością parafianki. Szwy tej grubej roboty były tak widoczne, iż raziły dobry smak światowców.

Sam Necker, sztywny, chłodny, pyszny kupiec, nie raczył się zajmować gośćmi. Milezał zwykle w swoim salonie, słuchał, od czasu do czasu rzucił jakieś słówko — pozwalał się awielbiać, kadzić sobie, bawić siebie dowcipnym, giętkojęzycznym Francuzom.

Skutek interesownej gościnności bankierowej był nadzwyczajny, większy, aniżeli się tego państwo Necker mogli spodziewać. Literaci roznosili słowem i drukiem sławę „rozumnego i uczciwego bankiera,“ płacąc mu hojnie za dobre obiady i nudną konwersacyę. Przygotowana reklamą publiczność zносиła do banku Neckera swoje oszczędności i składała w jego ręce liczne depozyty, zawiązywała z nim stosunki handlowe. Operując umiejętnie i szczęśliwie cudzemi pieniędzmi, porastał Necker w pierze, z bogacił się w krótkim czasie — mały

bankierek genewski stał się wielkim bankierem paryżkim.

Nie dość na tem. Sława nadzwyczajnych zdolności finansowych Neckera, roztrąbiona przez jego gości, doszła do dworu. Właśnie szukał Ludwik XVI jakiegoś zdolnego finansisty, któryby potrafił napełnić próżny skarb. Wskazano mu Neckera, król dał się namówić i bankier został generalnym kontrolerem, ministrem.

Z takiego gniazda szczęśliwych parweniaszów wyszła pani de Staël (urodziła się w Paryżu 1766 r.).

Nie była urodziwą.

Przysadzista, gruba, nieforemna, jak kłoc nieociosany, robiła wśród otoczenia wykwintnych dam paryżkich wrażenie ich kucharki. Typowa mieszcza Niemka. Jej czerwoną, pryszczami skażoną twarz, szpecił nadmiernie duży nos. Rysy miała męskie, ruchy energiczne, głos gruby dojrzewającego chłopca.

Kochała ojca miłością córki i wielbić. Uwielbiała jego zdolności, podziwiała jego cnoty, brała od lat najmłodszych żywy udział w jego pracy, w jego karierze. Necker był dla córki ostatnim wyrazem doskonałości, co przynosi zaszczyt jej sereu.

Jak cała oświecona młodzież owego czasu, zapaliła się i ona do rewolucji. Voltaire, encyklopedyści i Rousseau prowadzili

jej młodość, nadali kierunek jej lotnym myślom. Głównie ostatni, przemawiający do wrażliwości, do tkliwości niewieściej załadnął jej duszę.

W chwili wybuchu rewolucji, w r. 1789, pani de Staël, zaślubiona od r. 1786 staremu baronowi de Staël-Hollstein, ambasadorowi szwedzkiemu, była gorliwą rewolucjonistką, wyznawczynią najjaskrawszych teorii wywrotowych.

Ale rewolucja barzy bardzo prędko ołtarze młodości, rozwiewa szybko złudzenia nie oparte na rzeczywistości, na znajomości natury ludzkiej. Człowiek przeżywa w rewolucjach w jednym roku więcej, niż w czasach spokojnych w przeciągu lat pięćdziesięciu.

Przyszła rewolucja, przyspieszona poniekąd przez ojca pani de Staël, który namówił króla do podwojenia liczby posłów ze stanu trzeciego, zawiodła przeróżnych fantastów. Nie filozofką się okazała, nie pobłażliwą dla wszystkich, miłąca wszystkich idealistką, marzycielką, nie weleńiem oderwanych teorii o szczęśliwości powszechnej, jak obiecywali jej doktrynerzy, jej pierwsi twórcy, lecz bezwzględna, okrutną drapieżnicą.

Pani de Staël oprzytomniała. A kiedy rewolucja strąciła jej ubóstwianego ojca ze stanowiska naczelnego, kiedy Necker

uszedł z wielkim trudem mściwej niełasec ludu, który go wczoraj uwielbiał, odwróciło się jej serce od „krwawego potwora.“ Jan Jakób Rousseau przestał być jej bożyszczem. Miejsce jego zajął teraz spokojniejszy, rozważniejszy, historycznie wykształcony Montesquieu. Razem z umiarkowanymi politykami Francyi popierała konstytucję na wzór angielskiej, stała się rojalistką, broniła Ludwika XVI. Nie mając ochoty do zapoznania się z „panną Gilotyną“ uciekła podczas teroryzmu do Anglii, z kąd wróciła dopiero po upadku Robespierre'a.

Serce jednak niewieście jest wrażliwe, zmienne, logika niewieścia lubi zygzaki.

Rojalistka wróciła znów do wiary republikańskiej, kiedy rzeczpospolita po usunięciu Robespierre'a przestała być żbikiem. W chwili, kiedy całej Francyi obrzydły straszliwe eksperymenty rewolucyi, kiedy nawet motłoch pragnął monarchii, króla, pokój—pani de Staël była znów zawziętą republikanką. W salonie swoim, Paryżu, za czasów dyktoryatu, usiłowała pogodzić Francję z rewolucją, z jej rezultatami. Trudziła się daremnie. Naród znudzony okrucieństwem „wolności“, powitał z radością żołnierskie rządy Napoleona.

Zakończenie.

Czynny udział kobiet w rewolucyi nie przyniósł szczęścia ani rewolucyi, ani jej działaczom, ani im samym.

Kobiety wniosły do rewolucyi swoją nadmierną wrażliwość, nerwowość, namiętność i zygzakowatą logikę.

Kobiety z ludu, podniecone zapachem krwi, rozzuchwalone bezkarnością zawieruchy politycznej, stały się furiami, oszalałymi wiedźmami. One też głównie znęcały się okrutnie nad ofiarami, pastwiły się nad trupami, denuncyowały najzawzięciej. Cały legion niewinnie zamordowanych zginął wskatek podłych, kłamliwych donosów kucharek, praczek, prasowaczek i t. d. Najohydniejszym scenom rewolucyi klaskały najgłośniej „bachantki nowego boga Libera.“

Kobiety oświecone ze szlachty i mieszczaństwa, zapaliwszy się do rewolucyi, pod-

suwały swoim mężom, braciom i kochankom pomysły nierozważne, namiętne. Wiadomo, że pani de Staël nakłoniła swojego ojca, Neckera, do radykalizmu, którego później mądry bankier żałował—wiadomo, że pani Roland wpływała zgubnie na męża i Żyromdystów, usposabiając ich wrogo dla króla i monarchii wogóle.

Kobiety nie przyniosły szczęścia działaczom rewolucyi. Prawie wszyscy wodzowie stronnictw zginęli przez kobiety. Mirabeau'a zabiła w sile wieku rozpusta, Vergniaud, naczelnik Żyromdystów, zgnaśniał, stracił sprężystość, rozmiłowawszy się w pięknej aktorce Candeille, i poszedł na gilotynę. Danton, ożeniwszy się po raz drugi, ugrzązłszy cały w rozkoszach miesięcy miodowych, zatrzymał się w rozmachu rewolucyjnym, przestał być ostrożnym i pozwolił się ująć zbirom teroryzmu z uległością baranka. Nawet Robespierre'a rzuciły kobiety pod nóż gilotyny, ośmieszywszy go niemądrem ubóstwianiem.



41227